Nr. 33 (1181). Warszawa, dnia 2 (15) Sierpnia 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

SZAKALE.

Margrabia Lansdowne w przeszłym tygodniu zapowiedział w Izbie gmin zajęcie się sprawą Konga na tak zwanej „drodze dyplomatycznej.“ Jaką sprawą i dlaczego aż w dalekiej Afryce, w państwie, które król belgijski podarował był wspaniałomyślnie swemu narodowi? Co się tam stało takiego, coby polityczny interes Anglii poruszyć mogło? Tym razem, na początek przynajmniej, nie chodzi o politykę; Anglia wystąpić ma jako orędowniczka i obronicielka ludzkości. Wstyd to dla Europy urzędowej, że odbywszy przed osiemnastu laty umyślną konferencyę nad ogromnemi przestworami, obejmowanemi nazwą „Kongo,“ nic o nich nie wie przez własne swoje organa i dowiadywać się musi dopiero od podróżników, misyonarzy i kupców, oczywiście, nie belgijskich, że dzieją się tam rzeczy okropne: mordy zbiorowe, rzezie jako zabijanie w boju i rzezie, jako karanie w pokoju, niewola najstraszniejsza, jakiej nigdy nawet wśród dzikich być nie mogło, a nad to wszystko zamiast wytępienia ludożerstwa, odwiecznego nałogu biednych istot ludzkich — zachęcanie do niego, nagradzanie niem siepaczy.

Od podróżników także, dowiedział się o szakalach belgijskich cny margrabia. Nie śpieszył się ze zużytkowaniem swych wrażeń w Izbie. Może się lęka wywołać wilka z lasu, bo i gospodarstwo angielskie w Ugandzie nie odznacza się anielstwem; może się namyślał nad prawem Anglii i formą dla skorzystania z niego najwłaściwszą: dość, że dopiero w rok po wyjściu książki Foxa Bourne'a o Kongu wdział pancerz i hełm archanioła mściciela i wygłosił w Izbie swą zapowiedź. Czy miecz pochwyci; czy rzeczywiście coś więcej zrobi nad kilkadziesiąt pięknie brzmiących wyrazów? Sprawa nie jest polityczną, a nadzieja dojścia do zdobyczy politycznej przez współczucie z ludzkością byłaby wręcz niedorzeczną. Zmieniły się czasy. Dziś kto nie chce burzyć wszystkiego, ten nie ma już rozpędu do wygładzenia którejkolwiek z ohyd istnienia ludzkiego. Interes przeżarł umysły i serca. Idealizm bezpowrotnie przeminął. Na wielki ból, jak na wielką litość, niema już serc. Trzeba ich szukać w zastępach przyszłości.

W każdym razie jeśli jest rząd, który może powiedzieć, że własnemi swemi środkami i w odpowiednim dla siebie zakresie coś zrobił w tak zwanem prawie międzynarodowem dla ludzkości, to rząd angielski. Zniesienie niewoli u siebie w samych posiadłościach angielskich, jeszcze w roku 1834 uchwalone, ściganie handlu niewolnikami, walka z korsarzami rozwożącymi po oceanie indyjskim i morzu Śródziemnem żywy towar ludzki — pozostaną już w historyi, jak z niej nie zniknie po zarządowa już inicyatywa Wilberforce'a. Może i teraz powściągnięcie cywilizacyi Białej, pastwiącej się nad dzikością Czarnych; może rozpędzenie tych bestyi człowieczych, gospodarujących od lat piętnastu już stale i ciągle nad Kongiem i jego dopływami — stanie się również zasługą Angli. Zasługą — bo rządy wogóle ilekroć działają bez podkładu interesu politycznego, są na krzyk człowieczeństwa cierpiącego głuche, a jeśli go nawet do siebie dopuszczą — dziwnie ociężałe, powolne i ostrożne. Rozbójnicza zasada nieinterwencyi, zaostrzona prawem wzajemności wydaje z siebie obojętność, oziębłą staje się ze wstydu przed opinią — publiczną — robi licho i marnie.

Jakim potworem może się stać „spokojny kupiec“ Laurenta — nigdzie takiego druzgocącego dowodu znaleźć niepodobna, jak na przestworach opisywanych przez Bourne'a. Uzbrojone w monopole, zabezpieczone wydziedziczeniem ludności przez ohydne *jus eminens* państwa, rzuciło się wielkie kupiectwo belgijskie na nieszczęsną krainę z całą chciwością łupieżców i całem niemiłosierdziem opryszków. Za narzędzie służą im najmici w charakterze dozorców, inspektorów, dyrektorów, dowódców, straży i wypraw, komendantów straży wojskowych i szefów faktoryj i magazynów. Sama ludność dostarcza siły zbrojnej, wtłaczana w formę wojskowej organizacyi europejskiej. Wraz z wódką, karabinem i tytoniem forma ta stanowi całą cywilizacyjną zdobycz niezliczonych gromad ludzkich, którym konferencya z roku 18~5 otwierała właśnie podwoje cywilizacyi.

Katowska zgraja wprowadziła jeszcze jeden produkt cywilizacyi europejskiej: harap, zwany po francusku *chicotte*, a używany na „leniwych“ robotników krajowców. Po trzydziestu razach, zadanych tem narzędziem, człowiek traci świadomość; po trzecim już z ciała tryska krew. Za plantatorem i kupcem czai się hyena. Urzędnik państwa Kongo zaprasza pewną liczbę naczelników na rozmowę, rozdaje im chustki, świecidełka, zabawki, czasem cukier, zaopatruje ich w wódkę i tytoń i w zamian otrzymuje odpowiednią — normą jest jeden człowiek za jedną chustkę — liczbę poddanych naczelnika. Oficerowie ćwiczą tak kupionych w wojskowości, żywią ich i osłaniają od dawnego pana, a wyćwiczyw-

szy, wypuszczają na naczelników opierających się handlowi i na krajowców odmawiających zbierania kości, złota lub kauczuku dla faktoryi belgijskiej. Całe wsi idą z dymem, gdy potrzeba przerazić, zemścić się lub ukarać; całe ogrody, pracowicie sadzone, znikają z powierzchni ziemi; ludność dostaje się pod kule, dopóki osaczone szczątki nie poddadzą się okrutnikom.

Niegodziwości bratobójstwa zmienionej w instytucyę państwową wtóruje inna: szerzenie ludożerstwa przez odstępowanie ofiar zwycięzonym. Umyślne kotły państwowe służą do gotowania ciał ludzkich, a po dobrej robocie, po zdobyciu jakiej większej osady przypada jeden ugotowany na jednego biesiadnika. Rozbestwienie ekonomiczne posuwa się do spędzania na robotę — strzałami, a okrucieństwo przemocy nie wzdryga się odcinać rąk jeszcze żywym — i rąk tych wędzić, aby zachowane i wraz z głowami roznoszone przerażały. I oto jest jedno z dobrodziejstw, które wiek XIX przekazał swemu następcy. Trzy tysiące kilkaset wyrzutków dotychczas już miliony wtrącić zdołało w straszliwe piekło tej kupieckiej niewoli. Dwadzieścia kilka milionów jednoplemiennej ludności — czeka zupełna zagłada, jeśli ta bestyalna gospodarka dłużej potrwa. Dziś już całe płaty kraju są bezludnemi pustkowiami. Od tych okropności myśl truchleje, ale dyplomata nie weźmie sprawy do serca. Jedna go tylko rzecz żywiej zająć może: monopole, których konferencya zakazała, a które król belgijski hojnie porozdawał — oczywiście nie bez radosnych drgnień własnej swej szkatuły. O monopole może się zaczepić to, co żargon dyplomatyczny nazywa „akcyą mocarstw.“ Tymczasem, aż do jej skutku, panować będą szakale.

Ostatni Obrenowicz.

Dr. Vladan Georgewicz, którego szkic o kobietach Obrenowiczów znają czytelnicy *Prawdy*, zamieścił w *Zukunft* nadzwyczaj barwny i z wielkim talentem nakreślony portret zamordowanego króla serbskiego. Nie dla samego bohatera, który zasłużył na ogólną uwagę tylko swoją śmiercią, ale dla zrozumienia motywów krwawej tragedyi i sprężyn przewrotu powtarzamy w krótkości ciekawe a niekiedy zdumiewające odkrycia byłego prezesa ministrów serbskich.

Według niego „na całej kuli ziemskiej niema kraju, który byłby godzien lepszej doli a podlegał większym nieszczęściom.“ Na poparcie tego nieco przesadnego mniemania przytacza Georgewicz ważniejsze wypadki dziejów Serbii z ostatniego stulecia — długi szereg walk, morderstw, buntów, wiarołomstw, zmian ministeryalnych i objawów samowoli, targającej prawidłowy rozwój życia społecznego.

Pierwszem ogniwem w łańcuchu gwałtów i szaleństw Aleksandra był jego zamach stanu w r. 1893, dokonany przy pomocy wojska przeciwko sędziwym regentom, którzy trzykrotnie wkładali koronę na głowy Obrenowiczów. Już wtedy straszna dzikość wyjrzała z małotniego chłopca. Pewnego dnia minister doniósł mu, że metropolita Michał opiera się. „Czy to popa nie można usunąć filiżanką kawy?“— zapytał młody król. Odpędziwszy liberałów, złączył się z radykałami; ale i ci wkrótce przeszkadzali mu w nowym zamachu — w złamaniu świeżo zaprzysiężonej nowej i przywróceniu starej (1868) konstytucyi. Sposób, jakim on się ich pozbył, zawstydza najprzebieglejsze podstępy sztuki gabinetowej. Podczas podróży po kraju w otoczeniu ministrów radykalnych nagle kazał zatrzymać powóz w miejscu, gdzie droga zawisła nad przepaścią, wysiadł i poszedł dalej pieszo. Co się stało? Pomysł w stylu W. Hugo. Król oświadczył, iż odkryto mu spisek ministrów, którzy mieli nad owem urwiskiem spłoszyć konie i strącić go w przepaść. Stronnictwo radykalne zostało tym wybiegiem skompromitowane i odsunięte, a na jego miejsce powołano do rządów postępowe, które, również oszukane, nieświadomie pomogło do obalenia konstytucyi. To też prezes ministrów z tej partyi, żegnając Aleksandra, powiedział: „Niech mnie Bóg strzeże, ażebym jeszcze raz musiał służyć waszej królewskiej mości.“

„Ja zostałem prezesem ministrów—w ciągu trzech lat dziewiątym — pisze dosłownie autor — i ja, Vladan Georgewicz, który zbliżyłem się do kresu życia, świadczę przed Europą, że król wynajął morderców dla zabicia swego ojca. Aleksander i jego była utrzymanka, a następnie żona, Draga, wynajęli Kneżewicza, ażeby tajemnie zastrzelił Milana, twórcę nowego królestwa serbskiego i pierwszego króla Serbii.“

Tu Georgewicz zabezpiecza się przeciwko posądzeniu go o nieprawdę, kładąc na szalę swój honor i wiarogodność. Zapewnia uroczyście, że nie wiedział o intrygach Dragi w usunięciu poprzedniego ministeryum, że nie przyjąłby nigdy przewodnictwa w nowym gabinecie, gdyby się był domyślał zamiarów króla i że nie uważał za potrzebne wglądać w jego miłostki. „Kto mógł myśleć o Dradze Maszyn? — mówi on. — Jej ciało było własnością powszechną, jej przeszłość jawna, każdy znał córkę waryata i pijaczki, namiętną dziewkę. Wiedział o wszystkiem również Aleksander tak dobrze, jak kupiec Kanara, dziennikarz Sima Popowicz, jak wielu zresztą dotąd żyjących belgradczyków z osobistych doświadczeń.“

Broniąc dziś przed Europą naród — pisze on — muszę opowiadać rzeczy, o których kiedyindziej wzdrygałby się mówić honor męzki. Na jednem z przedmieść Belgradu stoi domek, w którym przebywali najwięksi zbrodniarze. Nieliczni przechodnie, mijający go w nocy, dziwili się, spostrzegłszy przed nim powóz a przed oknami dwóch mężczyzn. Jeden był ubrany po cywilnemu i zawsze z zasłoniętą twarzą, drugi w mundurze oficera artyleryi. Jeżeli ciekawy przechodzień wracał po paru godzinach, widział już tylko przechadzającego się oficera, którym był komendant żandarmów, Zinzar Markowicz, bo cywilny, król, bawił już u swej kochanki. Raz prefekt belgradzki doniósł mi o tem: poradziłem mu, ażeby całą sprawę lekceważył.

„— Ale, panie ministrze—rzekł— gdyby królowi przyszła do głowy myśl..

— Jaka?

Marya Zagórska.

SZLOMA.

(Dokończenie).

Zaczęły się wieczorne wycieczki do miasteczka.

Wracała w nocy. Za nią najęty woźnica wnosił naładowany kosz prosto do alkierza. Alkierz teraz bywał stale zamknięty, a klucz u Ryfki za pasem.

Niedobre przeczucie ogarniało starego.

Od czasu do czasu zachodzili chłopi, poszeptali cicho, znikali w komorze, a gdy który wychodził, to zawsze niósł w zanadrzu coś otulonego szmatą.

— Handluje — myślał Szloma.— Czem?

Ale gdy coraz częściej zaczął u nich bywać znany we wsi pijak Anton, niedobre przeczucie zamieniło się w strach.

— Ryfka! Bój się Boga! Co tobie w głowie?

Żona poczerwieniała z irytacyi.

— A tobie co do tego, co ja robię? Ja ciebie o radę nie pytam! Dajesz pieniądze? Nie dajesz! No, to milcz!

Ciągnęło się tak czas jakiś ku zobopólnemu zadowoleniu stron. Ryfka brała za wódkę dwa razy tyle, co zapłaciła, a mieszkańcy Kurjańca nie potrzebowali pędzić koni o lada sztofik do „monopolu.“

Stary drżał ze strachu i nie sypiał po nocach. Cóż robić! Od tego i są starzy, żeby się wszystkiego bali.

I czego to się lękać?

Sam starosta przysyła często chłopa z pustą butelką do Ryfki i rozumie się bez pieniędzy. Ona się nie upomina — i interes skończony.

Sam starosta wie i nic nie mówi, to kto może coś powiedzieć?

Zapomniała Ryfka o sockim.

* * *

Pewnej ciemnej nocy wracał socki z „wołosci.“ Obok domu Szlomy, pod samym progiem prawie, potknął się o coś leżącego w poprzek ulicy. Skrzesał ognia, pochylił się i poznał, spoczywającego w błocie, Antona, który, bełkocząc coś niewyraźnie, zaciskał w wyciągniętej ręce *corpus delicti* w postaci pustej butelki.

Po kilku dniach zaszedł do chaty Szlomy Onufry z drugiego końca wsi. Tego także Ryfka poprowadziła do alkierza i sprzedała mu aż trzy sztofy.

Onufry! Znany z tego, że wódki do ust nie brał!

Rzecz była mocno podejrzana, ale Ryfce i to nie otworzyło oczu.

Powiedział, że na tłokę. Uwierzyła.

I znów przeszło dni kilka. I znowu była noc.

Rodzina cała spała snem spokojnym, gdy dało się słyszeć silne dobijanie się do drzwi. Ryfka poszła otworzyć i skamieniała na widok uradnika. Tuż za nim, w ciemnej sieni, stali Onufry i Karpo, z którym zwykle jeździła do miasteczka. Kazano otworzyć alkierz, gdzie był świeży transport i wobec całej, przerażonej gromadki przystąpiono do sporządzenia protokółu.

Ryfka w jednej chwili odzyskała przytomność. Zaczęła dowodzić bardzo prędko i śmiało, że ta wódka nic nie znaczy. Wszyscy wiedzą, że za dwa tygodnie będzie wesele Blumy. Ona zrobiła zapas na wesele. U nich dużo wódki trzeba na wesele. Gdzież ona miała trzymać wódkę, jak nie u siebie w alkierzu? A przynieść na plecach także nie mogła. Musiała nająć Karpa. A co on pierwej woził — to nie była wódka. Czy to jedne sprawunki do domu potrzebne? A co mówił Onufry, że u niej brał wódkę — to Onufry kłamie. Ona nig-

— No, tę osobę zaślubić.

— Jesteś pan dobrym urzędnikiem policyjnym — odparłem rozgniewany — i jako taki nie potrzebujesz znać dokładnie duszy króla.“

Omyliłem się. Z tego wypadku wyciągnąć można naukę, że niedorzecznem jest mniemanie, jakoby mąż stanu powinien zajmować się tylko wielkiemi ideami i poważnemi siłami. Szczęśliwy, czyja działalność rozwija się w tym kierunku; my, politycy serbscy, rozbiliśmy się o mizerną nierządnicę. Kiedy Milan odgadł małżeńskie plany syna, postanowił je zniweczyć. Ale wszystko ucichło, a król okazywał ojcu niezwykłą czułość. Nagle pada strzał Kneżewicza: kula lekko drasnęła Milana, a ciężko zraniła jego adjutanta Łukicza. Trzeba było zdjąć podejrzenie z rzeczywistych sprawców zamachu i obciążyć niem rzekomych. A więc mordercę uspokojono nadzieją bezkarności, wtajemniczonych zgładzono, a na radykałów zwalono winę. Naiwny Kneżewicz tak był pewny ułaskawienia, że uśmiechał się na miejscu kaźni, prefekt Andielicz zaś tajemnie został w więzieniu uduszony. Wtedy król, pozbywszy się wspólników, wezwał do siebie ministrów (Georgewicz bawił w Marienbadzie) i polecił im... aresztować wszystkich przywódców partyi radykalnej. Kiedy go zapytano o racyę, rozdrażniony oporem przywołał do sali pułkownika Konstantynowicza i rzekł: „Jeżeli ci każę rozstrzelać zdrajców spisanych na tej liście, czy to wykonasz?“ Pełnomocnik oniemiał — ministrowie stali wzburzeni. Ażeby zapobiedz rozlewowi krwi, zgodzili się, myśląc: *od roba ikad, iz groba nikad* (z więzienia może, z grobu nigdy).

Zawiedli się: król postanowił niewinnych radykałów zniszczyć za pomocą sądu wojennego i stanu oblężenia. Na protest ministrów wręczył im abdykacyę. Ażeby uniknąć zaburzeń w kraju skutkiem bezkrólewia, zwłaszcza że Milan nie chciał ponownie objąć tronu, ustąpili, spodziewając się, że sędziowie udaremnią zbrodnię. Ale i na nich oddziałano. Wprawdzie stracono tylko Kneżewicza, inni wszakże skazani zostali na więzienie i to jedynie dzięki interwencyi ces. Franciszka Józefa. Czy Milan znał dokładnie całą sprawę? Umierając na moich rękach w Wiedniu — odpowiada autor—rzekł do mnie: „Zamach był przygotowany przez Aleksandra i Dragę.“ Tak, dziś w literaturze myśli się inaczej o nierządnicach. Chwali się je, ale dlaczego mają być królowemi? Draga należała do najbrudniejszych i najwstrętniejszych rutynistek. „Czy znacie wszystkie odcienie i wynalazki występku? To była ona. Kiedy udała ciążę dla zmuszenia inżyniera kolejowego do małżeństwa, ten odczepił się od niej zapłatą 500 fr. Królowi opowiedziano tę sprawę i inne podobne—daremnie. Był on już zupełnie opanowany. Draga, ubezpieczywszy się należycie w jego namiętnościach, zaczęła go dręczyć. Nie dopuszczała do siebie, kazała mu w błocie i śniegu czekać przed domem, wybuchała płaczem, skarżąc się na swą niesławę metresy. Wtedy postanowił ją zaślubić, ale długo nie śmiał tego publicznie objawić. Zwłaszcza lękał się ojca. Potrzeba więc było zniszczyć w sercu syna resztki przywiązania. Zaczęły się tedy pojawiać fałszowane listy, karty pocztowe i artykuły dziennikarskie, w których szydzono z króla, że jest lalką w ręku Milana, że niedługo powróci do pokoju dziecinnego itp. Pod wpływem tych intryg Aleksander zgodził się na zamordowanie ojca i w tym celu wynajął Kneżewicza. Po chybionym zamachu Milan z Georgewiczem wyjechali za granicę, ażeby starać się o rękę pewnej księżniczki niemieckiej dla króla. Tymczasem on ich uwiadomił o swem małżeństwie z Dragą. „Natychmiast wraz z całym gabinetem przesłaliśmy mu telegraficznie dymisyę, Milan zaś pisał do syna: „Żaden feldfebel, a tem mniej najniższy oficer nie mógłby tak się ożenić, jak chce w. kr. mość.“ Wzburzenie było wielkie: urzędnicy dworscy zażądali uwolnienia, przywódcy wszystkich stronnictw odmówili utworzenia gabinetu, oficerowie postanowili udać się do króla ze stanowczym protestem. Należało co prędzej zlepić rząd. I rzecz niebywała: nawet drobni urzędnicy, nawet pewien stenograf parlamentarny, nawet pewien sekretarz legacyjny i drużba Dragi na jej pierwszem weselu—nie chcieli przyjąć tek ministeryalnych. Do objęcia zaś głównego dowództwa nad armią objawił gotowość tylko Zinzar Markowicz. Zanim zebrani w konaku oficerowie zdążyli wypowiedzieć swój protest, Aleksander odczytał im rotę przysięgi wojskowej i wyszedł z sali.

Pierwszym jego czynem po zaślubieniu Dragi było mściwe prześladowanie przeciwników tego związku, a nadewszystko własnego ojca. Pułkownik Misza Kumryicz musiał przed drugą brygadą kawaleryi odczytać rozkaz: „króla Milana należy zastrzelić, jak wściekłego psa, gdyby usiłował powrócić.“ A gdy wkrótce potem król w mowie tronowej napiętnował moralnie ojca, ten nie wytrzymał drugiego ciosu i umarł.

Zabiwszy ojca, wziął się król do matki, którą zbezczeszczono w dzienniku urzędowym. Gdy za nią ujął się pułkownik Simonowicz, Aleksander ryknął: „Wiem, że ona była twoją...“ Jakimże mógł być względem innych osób ten, który takim był względem własnych rodziców? Najzacniejszym i najzasłużeńszym ludziom wymyślał sam i przez kupione dzienniki od złodziejów i zdrajców, poniewierał czcią ich żon i córek, niektóre kazał ściągać do policyi, rozrywał małżeństwa, uwolnionych ministrów wtrącał do więzienia lub skazywał na wygnanie, zmuszał lud do „dobrowolnych“ składek na pułk kawaleryi lub jacht imienia Dragi... „Pozwolę sobie—mówi autor—zadać jedno pytanie p. Marszytianinowi, który podczas całej dragiady był prefektem Belgradu: „Czy to prawda, że Aleksander kazał mu przez żandarmów sprowadzić do domu publicznego córki pewnego ex-ministra?“ Jedna z tych dziewcząt umarła w zgryzocie. Pan Marszytianin może dziś odpowiedzieć, zwłaszcza że okazał się ludzkim w spełnieniu rozkazu. Król po prostu szalał. Raz polecił przyprowadzić sobie z więzienia dwu radykałów i dał im do wyboru: albo siedzieć dalej, albo zostać ministrami. Zdecydowali się na przyjęcie tek. Gdy poseł belgijski doniósł swemu rządowi o pewnym akcie państwowym, zapytano telegraficznie sekretarza, czy jego zwierzchnik jest zdrów — tak wiadomość wydała się nieprawdopodobną.

Znana jest historya z udaną brzemiennością Dragi, ale nieznanym pozostał fakt, że król chciał delegata Rosyi, Sniegirowa, który odkrył podstęp z poduszką — wychłostać.

Do tych zbrodni, gwałtów i bezeceństw przybył zamiar ogłoszenia brata Dragi następcą tronu. Ta ostatnia kropla przepełniła kielich. *J. B.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nowy papież odbył uroczystość koronacyi d. 9 b. m. Wróżbici chcą w nim widzieć przedewszystkiem papieża „religijnego,“ a w po-

---

dy nie sprzedawała wódki ani Onufremu, ani nikomu!

— Czy i Antonowi też nie sprzedawałaś? Anton!

Z ciemnej głębi wysunęła się ku światłu nalana twarz pijaka.

Ryfka przycichła nagle. A gdy tak stała z wytrzeszczonemi, okrągłemi oczami, otoczona dziećmi, uradnik usiadł przy stole i, zwracając się do chłopów, przemówił uroczyście:

— Wy więc macie świadczyć. Obwinia się o zabroniony handel wódką mieszczankę, Ryfkę Halbfisz.

Wtem na łóżku w kącie podnosi się chuda postać starego Żyda i spokojny, wyraźny głos mówi:

— Nie Ryfkę, a Szlomę Halbfisz. To ja trzymałem wódkę.

Uradnik ogląda się w niepewności.

— Powiadali, że Ryfka, ale kiedy Szloma, to niech będzie Szloma. To się wie, że żona bez męża nic nie będzie robić.

— Ryfka! — próbuje socki.

Ale uradnik nie żywi żadnych antypatyj czy sympatyj, stoi po nad stronnictwami.

— Cicho! Co ty rozumiesz? Już on pewnie sam najlepiej wie! — i pisze protokół.

Wszyscy milczą, aż odzywa się zduszony głos Ryfki:

— A co za to może być?

— Nie bój się! nie powieszą! — żartuje zapytany. — Będzie sztraf albo turma.

Nazajutrz, gdy wszyscy wyszli z chaty, a pozostał tylko stary Szloma i najmłodsza czarnooka Frejda, dziewczyna z cichym płaczem przypadła do nóg ojca.

— Za co? za co? tate?

— Sza, dziecko! — i stary pogładził ręką kędzierzawą główkę dziewczyny.— Tak potrzeba! Bez matki przepadlibyście. A ja? Na co ja się wam jeszcze przydać mogę?

Skazano Szlomę na sztraf, a w razie niemożności uiszczenia się— na miesiąc aresztu. Znalazłaby się może niezbędna suma w woreczku u Ryfki, ale czyż to jej pieniądze? To pieniądze cudze — to wesele Blumy.

Nie było nawet jednej chwili wahania. Nie było żadnych skrupułów.

Pogodnego, jesiennego dnia pojechał Szloma do miasta dla odsiedzenia kary.

Upakowano mu na wozie największą poduszkę i całą chustkę świeżych bułek.

Wkrótce potem odbyło się huczne wesele Blumy, a nazajutrz po rozjechaniu się gości przywiozła Ryfka do miasta kawał jajecznego tortu z uroczystości domowej.

Stary wychudł, pobladł i miał taki niezwykły wyraz w oczach, że żonę coś, jakby tknęło.

— Szloma, co tobie jest? Boli cię co?

Uśmiechnął się blademi wargami.

— Co mię ma boleć? nic nie boli, tylko trefne jedzenie dają.

Pokazało się, że od czasu wyjazdu z domu, w braku koszernego jadła, żył bułkami, rozmoczonemi w wodzie.

Teraz Ryfka wypatrywała okazyi, aby mężowi posłać butelkę mleka i trochę jedzenia, ale okazye były dość rzadkie, więc i Szloma jadał nieczęsto. Brak ruchu i powietrza robił także swoje, to też po upływie terminu wracał Szloma na wozie wysłanym poduszkami, a do domu wniesiono go na rękach wycieńczonego ostatecznie. Nie pomogło zalewanie mlekiem, nie pomógł sprowadzony doktór.

Pewnego wieczora lament się podniósł w mieszkaniu Żyda, a na drugi dzień rano nie było Borucha przy robocie.

— Bosyny odsiaduje, proszę pana! — meldował ekonom. — Wczoraj umarł stary Szloma.

I znowu jechał Szloma do miasta, ale nie na poduszkach na wozie, lecz w czarnem pudle, na kirkut.

Popłakała cicho czarnooka Frejda — Ryfka wyprowadziła na jarmark niepotrzebną krowę i... pojechała po wódkę do miasteczka.

litycznym upatrują większą skłonność do pojednania się z Włochami — wypadałoby powiedzieć: mniejszą do uporczywej obrony praw władzy świeckiej — niż w jego poprzedniku. Za oddaniem się więcej sprawom duchownym nym niż kościelno-politycznym przemawia przeszłość. Pius X nie był nigdy żadnym dygnitarzem, żadną personą w Watykanie. Przez wiele lat cichy proboszcz w Trombolo, w Salzano, bez intryg i zabiegów, za przykładne sprawowanie obowiązków został biskupem Mantui, a następnie patryarchą Wenecyi. Tu zajmował się bardzo insytucyami chroniącemi lud od nędzy, demokracyi księżej, belgijskiej, socyalizmu chrześciańskiego nie lubił. Dobrze o nim świadczy utrzymywanie stałych stosunków opiekuńczych z rodzeństwem, które było, jak i on sam, biednem; mając za wspólnego ojca prostego wyrobnika z Riese w Treviso, Jako Włoch k. Sarto powitał króla Humberta w Wenecyi, nie pytając się o pozwolenie Rzymu, żył z miejscowymi wyższymi urzędnikami, z pod księdza wydobywał się Włoch. Czy z tej drogi nie zejdzie jako papież? Dotychczas są raczej wskazówki przeciwne, które jednak nie wytykają jeszcze kierunku stanowczego. Tak np. elekt nie zawiadomił rządu włoskiego o swym wyborze, nie udzielił błogosławieństwa ludowi rzymskiemu z loży zewnętrznej św. Piotra.

Khuen był już w Ischl; miał jedno posłuchanie d. 6, drugie d. 7 b. m.; wróciwszy do Pesztu, zwołał zaraz kolegów na walną naradą. Pomimo staranności w ukrywaniu prawdy, wiedzą już wszyscy dobrze, że cesarzowi zawiózł dymisyę swego gabinetu, że cesarz tylko jeszcze raz pod rozwagę samych ministrów ją oddał. Rozwaga była odrazu dojrzałą. We środę miał król sam zjechać do Pesztu. Na początku tygodnia sprawa Khuena stała źle; gdyby nawet sam się chciał utrzymać, nie pozwolą mu na to dzisiejsi jego koledzy, a nowych już nie znajdzie. Trafnie przewidują dzienniki, wskazujące Aponyi'ego jako następcę byłego bana; prezes Izby podzieliłby rządy z Wekerlem, pierwszym ministrem przed Szellem.

Komisya do wyśledzenia przekupstw sejmowych odroczyła się; d. 10 b. m. zebrał się sejm. Khuen wyszedł cało, co jednak nie dowodzi jego niewinności. Łobuz Dienes podróżuje sobie po Europie, ścigany tak, żeby mógł łatwiej uciekać.

W Prusiech trzeszczą deski pod ministrami; trzech naraz ma przejść w stan spoczynku: spraw wewn. Hammerstein, oświaty — Studt i sprawiedliwości — Schönstedt. Hammersteinowi przysłużyły się powodzie śląskie — okazana wobec nich obojętność. Poruszył się cezar pod biegunem, poruszył Bülow na Nordeney: Śląsk wraz z Poznańskiem ma dostać 10 mil. marek, a Hammerstein przekaz na Lucanusa, grabarza ministrów. — Opinię, tę, z którą warto się liczyć, żywo zajmuje sprawa okrucieństw, spełniających się epidemicznie w wojsku. *Strassburger Post* domaga się oddawania pod sąd nietylko samych podoficerów, uprawiających katowanie jak rzemiosło, ale i ich zwierzchników; jest to istotnie potrzebne.

W Macedonii znowu ruchawka się wzmaga. Wysadzono dynamitem parę mostów, ukazało się kilka nowych oddziałów zbrojnych. Pod Monastyrem powstańcy zdobyli osadę górską i wymordowali całą osadę turecką. Powszechnie mniemają, że na jesieni rozpocznie się powstanie na nowo. Książę Ferdynand bawi ciągle w dobrach swoich węgierskich; zgoda jego z ministrami, którym zostawił zastępstwo, jest nieosobliwą, wygląda na niezgodę, a pobyt po za krajem ma pozory wyniesienia się z kraju na czas knowań, których istotę blizka przyszłość pokaże.

W Serbii aureola Piotra I już się przyćmiewa. Oficerowie z nocy 10 na 11 czerwca głośno sarkają na małe awanse, minister wojny musiał kilku uwięzić. W Wiedniu wyprawiono kocią muzykę dzieciom królewskim; na pocieszenie król obdarował ich orłem białym. Wpływ ministra wojny odwiódł króla od mianowania marszałkiem dworu podpułk. Leszjanina; policya odbierała egzemplarze dziennika urzędowego z dokonaną już nominacyą. Armia marna, a król niewiele się nią zajmuje. Wyjaśnienie Gruicza, odpierające oskarżenia Georgewicza, ukazało dzisiejszego króla jako domniemanego sprawcę zamachu szabackiego.

W Chinach jakieś spiski przeciwko władzy pekińskiej. W Szangaju oburzenie na czyn samowoli europejskiej, której ofiarą padli publicyści narodowi; porwano ich jako buntowników; w Mandżuryi, w części i w zakresie pozostawionym jeszcze Chinom, wielkie porządki, które wywołały aż komisarzy nadzwyczajnych. Z Tybetu wiadomość, że Rosya zawarła z dalaj-lamą jakiś układ lekceważący zwierzchnictwo Chin. Sprawujący interes woła o przysłanie — posła: dziwny ratunek. Niewiadomo jeszcze, co zyskali Amerykanie w Mandżuryi; milczy jeszcze telegraf.

W Persyi prześladowania i mordy spełniane na sekcie Babi, istniejącej już od lat 60, reformatorskiej i rewolucyjnej. Motłoch nienawistny wywarł nacisk na szacha — i wyprawiono w samym Teheranie na prędce rzeź z 300 ofiar. Persya leci do zguby. Myśl połączenia się z Sunnitami, dziś, przy zniknięciu Turcyi, może ją tylko przyspieszyć. Społeczeństwa wschodnie mrą od swoich religij.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DYMEK.

Lucerna, 8 sierpnia.

Co za dziwny kaprys natury! Świadomość, myślenie, czucie dała ona najwyrodniejszemu i najsłabszemu ze swych dzieci, człowiekowi, a odmówiła tych władz najpotężniejszym i ciągle z nią związanym — oceanom, górom, wichrom. A może ja w tej chwili popełniam jeden ze zwykłych grzechów zarozumiałości ludzkiej?... Może to jezioro, które tak wdzięcznie przytuliło się do olbrzymów alpejskich, pluskiem swych fal rzeczywiście coś do nich mówi, czego ja nie rozumiem? Och, gdyby bodaj na krótką chwilę posiąść ten język! Ile on dałby wiedzy i ukojenia. Nasze życie bowiem dokucza nam nietylko swoją zagadkowością, ale ciągle budzi wstręt swojem mizeractwem, kłamstwem, obłudą i tem dmuchaniem milionów ust w dziureczkę drobnych pyłów, dopóki one rozdęte nie przyjmą kształtu różnobarwnych baloników, unoszących się w górze i udających planety. Prawda, że można się z tego nieraz serdecznie uśmiać, ale samym śmiechem równie karmić się nie można, jak samym likierem.

Przekonałem się o tem raz jeszcze, gdy w Rzymie dawano przez parę tygodni niezwykłe widowisko ciekawości wełniano-jedwabnego motłochu, podrażnionej konaniem i śmiercią dawnego papieża i wyborem nowego. Niech dzienniki warszawskie, które malowały ten obraz „uroczystej powagi i głębokiego smutku," dziękują Bogu, że ich czytelnicy nie byli na miejscu, bo z pewnością posłaliby do redakcyj telegramy: „Na litość, przestańcie panowie tak bezwstydnie łgać." I rzeczywiście, w tłumie ulicznym, winiarniach, nawet w salonach klerykalnych wszystko wybiegło i wypełzało z dusz żądnych „sensacyi," prócz „uroczystej powagi i głębokiego smutku." Dziennikarze klęli swój psi los, który im kazał czatować na odwlekającą się wiadomość o śmierci papieża, znosić straszny upał, kłaniać się nizko służbie watykańskiej, mogącej wykraść jakąś tajemnicę swym panom, błagać telegrafistów o pierwszeństwo w przyjęciu depesz, latać za powozami kardynałów, opędzających się natrętom; publiczność, zgromadzona na placu św. Piotra w 40-stopniowym żarze, niecierpliwiła się uporem życia Leona XIII, który nie chciał umrzeć i rzucić jej z ostatniem tchnieniem smacznej nowiny swego zgonu; członkowie św. kolegium nie kryli znużenia, wyzyskując czas na intrygi przedwyborcze. Tylko właściciel kawiarni, gdzie gromada reporterów dniem i nocą „chwytała wiatr" plotkarski, powtarzał melancholijnie: „Czemu to papież nie umiera codzień!.."

Nareszcie umarł. Długie i głębokie: aaaach! wydarło się z tysiąców piersi zmęczonych wyczekiwaniem i chciwych rozkoszy nowych wrażeń. Nastąpił drugi akt komedyi już wyraźnie i bardzo wesoły. Pomimo zmian, jakie w usposobieniach czas zaprowadził, Rzym nie oderwał się od wiekowej tradycyi, która mu z okresu „bezkrólewia" papieskiego zrobiła „karnawał." Wprawdzie dziś już nie odbywają się w tej porze, jak dawniej, orgie i rabunki, wprawdzie kobiety mogą bezpiecznie chodzić po ulicach dzięki opiece policyi królewskiej, ale echo dawnych wspomnień zabawy dotąd się odzywa i wywołuje wesoły nastrój śród „wiernych, okrytych grubą żałobą." Wyznaję, że i ja doświadczyłem dużo uciechy. Bo czy podobna było nie śmiać się, widząc dziennikarskich tropicieli, którzy ledwie odpoczęli po znoju czyhania na wieść o zgonie papieża, musieli znowu chwytać w lot najniedorzeczniejsze pogłoski z konklawe i dla których odkrycie drugiego słońca w przestrzeni lub prapierwiastku materyi byłoby drobiazgiem wobec złapanego półsłówka lokaja Rampolli? Czy podobna było nie śmiać się, czytając wczoraj w tych samych pismach zachwyty nad mądrością Leona XIII, nad jego geniuszem, nawet nad „miłym uśmiechem,"-od którego—jak mówią zatybrzanki — „mleko w wymionach krów się warzyło," a dziś dowodzenia, że większość św. kolegium postanowiła zmienić „błędny kierunek" polityki nieomylnego nieboszczyka? Czy podobna było nie uśmiać się, patrząc na kawiarniarza podwatykańskiego, który, obsługując swych licznych gości, znowu powtarza: „Czemu to codzień nie wybierają papieża"? Czy podobna nie śmiać się wobec purpuratów, zapewniających, że Duch św. wskaże im wybrańca, a jednocześnie intrygujących i walczących zawzięcie o tyarę dla siebie lub swoich przywódców? Wreszcie dymek, dymek! Co za pyszne igrzysko!

Może który z czytelników *Prawdy* nie wie, że po każdem głosowaniu kardynałów bez rezultatu, ich kartki z wiązką siana są spalane, a wychodzący przez komin nad kaplicą Sykstyńską dym wskazuje, oczekującym na placu gapiom, że konklawe nie upatrzyło sobie jeszcze odpowiedniego kandydata. Kiedy ukazał się pierwszy taki dymek — opowiada roztelegrafowane po świecie doniesienie—„tłum wydał okrzyk." Zapewnie pytaliście się, co ten okrzyk znaczy? Przysięgam, że i ja nie wiem. Chociaż przez kilka tygodni działał w Rzymie totalizator: grano naprzód na datę śmierci Leona XIII, a potem na rozmaitych „papabilów," ale to odbywało się po cichu. Czego oni wrzeszczą? — zagadnięto Włocha, który stał olśniony. — Wyszedł dymek, nie widział pan? — wyrzekł z taką miną, jak gdyby dał objaśnienie, że w kwadracie wszystkie kąty są równe. Podobnych dymków było siedem—tak długo konklawe wahało się z wyborem. Widzieli je tylko najwytrwalsi, bo dla doświadczenia tej przyjemności trzeba było co najmniej kilkanaście godzin prażyć się na placu, ale według zapewnienia gazet każdy „wywoływał głębokie wzruszenie." Co to było? Gniew, radość, czy smutek? Nie, był to także dymek, który przez usta ludzkiego stada wydobywa się zawsze, ile razy w jego wnętrzu

spali się trochę kartek i wiązek siana. Ale prasa, która umie oceniać wagę wypadków, siedem razy uwiadomiła świat, że kominem kaplicy Sykstyńskiej wylatywały doniosłe zdarzenia.

— Ręczę — mówił w wagonie kolei jakiś cietrzewicz, anarchistycznie ubrany, do swych znajomych — że to mój stryj kardynał napisał na kartce zamiast nazwiska kandydata: *nemini* (nikomu). Bo zawsze mówił: śród tych 62 faryzeuszów niema ani jednego, któregoby Chrystus nie wypędził ze świątyni.

Istotnie, niektóre gazety doniosły, że śród kartek oddanych przy głosowaniu w konklawe na jednej stale było napisane: *nemini*.

Siedzę nad pięknem jeziorem, którego majestatycznym spokojem wstrząsa tylko czasem wielka siła natury, ale nigdy wielka małość ludzka, i myślę o tym podobno dobrym i miłosiernym synu rezyjskiego chłopa, który jako Pius X zasiadł na Stolicy Apostolskiej. Czy też on, uwięziwszy się dobrowolnie, nie zatęskni do pól i łąk, które go wychowały i które ukochał? Czy nie będzie miał dni, w których tyara zacznie mu rozgniatać głowę? Czy nie przyzna w duszy, że jest ofiarą niedorzecznej pretensyi, śmiesznego urojenia i ewangelicznego zaprzaństwa, że jego niepotrzebne i komedyanckie męczeństwo nie będzie zapisane przez historyę w czczonej martyrologii?

Bądź co bądź, szczerze radzę naszym stróżom pobożności: nie prowadźcie pielgrzymów do Rzymu, zwłaszcza kiedy obierają papieża, bo może ona tam z ich serc ulecieć, jak dymek.

Go—on.

Z nad Warty i Odry.

—B—

Nadużycia centrowców. — Nowa organizacya polityczna na Górnym Śląsku. — Kasa chorych nr. 3. — Redaktorowie polscy w więzieniach pruskich. — Nowe nabytki komisyi kolonizacyjnej. — Związki zawodowe.

Skończyły się wybory, ale echa towarzyszących im wypadków nie przebrzmiały. Gromadzone są obecnie dane, dotyczące nadużyć, popełnionych podczas wyborów przez centrowców i katolikowców. Ten materyał może posłużyć do unieważnienia mandatów posłów, wybranych wskutek nadużyć. Na brak danych nie można się uskarżać, zwłaszcza z okręgu pszczyńsko-rybnickiego, gdzie kandydat narodowo - demokratyczny przepadł względnie nieznaczną mniejszością głosów. Zresztą na całym Górnym Śląsku klerykali pozwolili sobie najbezwstydniejszych wybryków przy ostatnich wyborach.

W Mysłowicach czterech księży kapelanów wynajmowało ludzi do bicia agitatorów partyj przeciwnych. Jeden z takich zbirów, namówiony przez księży, pobił robotnika Kufla, należącego do stronnictwa *Górnoślązaka*, za co mu owi księża wypłacili 4 marki. W Łyskach ksiądz Kapica namawiał swych parafian, aby wypędzali, kto czem może, agitatorów antycentrowych, W Baronowie ks. Böhm nie chciał pewnemu chłopu pochować dziecka, dopóki ten nie przyrzekł, że będzie głosował za Ballestremem. W Zenach ks. Kocurek tłomaczył parafianom z ambony, że kandydat *Górnoślązaka* nie może być wybrany, gdyż jest zamłody itd. Za przykładem księży szli nauczyciele. W Makoszowie zorganizowali oni bandę chłopaków, którzy kamieniami i cegłami spotykali ludzi, rozdających odezwy za Korfantym i Morawskim. W Krzyżowicach nauczyciel Seemann kazał sobie pokazywać kartki, darł te, na których było wydrukowane nazwisko Kowalczyka i wciskał ludziom kartki ks. Faltina (centrowca).

Były nadużycia i takiego charakteru, które stanowią zupełnie poważną podstawę do unieważnienia wyboru.

W Katowickiej Hołdzie nie zamknięto urny wyborczej po dokonanem głosowaniu. W Rydułtowach nie zapisano na listę 100 wyborców. W Cielnicach wyborców zmuszono do jawnego wkładania kartek do kopert, a przy liczeniu głosów usunięto niecentrowców z lokalu wyborczego. Do Żorów partya *Górnoślązaka* wysłała dwóch mężów zaufania. Gdy ci przybyli do lokalu wyborczego w celu rozdawania kartek i kontrolowania procedury wyborczej, burmistrz usunął ich z sali, a gdy się zjawili na ulicy, zostali ciężko pobici.

Klerykali górnośląscy rozumieją obecnie dobrze, że w przyszłości trudno się będzie wykręcać przy wyborach takiemi sztuczkami, i że lud górnośląski wymyka się im z rąk i przestaje ulegać ich woli. Biorą się więc na inne sposoby. Oto w Bytomiu powstała nowa polska organizacya polityczna dla całego „katolickiego“ Śląska pod nazwą „Towarzystwa ludowego.“ Inicyatywę do założenia go dał p. Napieralski, redaktor *Katolika*, ale sam ani w zgromadzeniu organizującem nie brał udziału, ani do zarządu nie wszedł. Na zgromadzenie zaprosił różne osoby z obozu *Katolika* ksiądz Skowroński z Ligoty pod Białą, on też kierował obradami i wygłosił mowę programową. Ks. Skowroński jest białym krukiem wśród duchowieństwa górnośląskiego, albowiem przyznaje się zupełnie otwarcie do narodowości polskiej i również otwarcie potępia system germanizacyjny. Nie przeszkadza mu to zresztą być faktycznym centrowcem i przeciwnikiem hasła wyjarzmienia się ludu polskiego z pod przewagi centrum.

W mowie swej ks. Skowroński zaznaczył, że polski lud śląski ma prawo do bytu narodowego i że prawa tego wszystkiemi siłami bronić powinien. Charakteryzując dwa istniejące wśród społeczeństwa górnośląskiego kierunki *Katolika* i *Górnoślązaka*, ks. Skowroński usiłował być nader objektywnym, przyznawał i jednej i drugiej stronie dobrą wolę i szczerą chęć służenia sprawie ludu polskiego, ubolewał tylko nad samym faktem niezgody. Uważając tę ostatnią za fatalną dla Górnego Śląska, dowodził potrzeby nowej organizacyi politycznej, która łagodziłaby nieporozumienia i niesnaski, stała się łącznikiem wszystkich jednostek, wywierających wpływ na ruch narodowy. Ponieważ zaś wzajemne rozgoryczenie między przywódcami obu kierunków stało się tak silnem, że na razie możliwość porozumienia się między nimi i przez nich nie istnieje, przeto powinna się w to wdać nowa organizacya. Ta z czasem przywróci wzajemne zaufanie i konieczną zgodę.

Z dalszych ustępów mowy ks. Skowrońskiego wynika, że ta zgoda nastąpi, jeśli zwolennicy *Górnoślązaka* zaczną wybierać posłów do... centrum, takich, którzy — jak się wyraził — nietylko z poczucia sprawiedliwości bronią praw narodowych ludu górnośląskiego, lecz będąc kością z kości i krwią z krwi jego, współczują z nim i tak w Berlinie przemawiają za słusznemi żądaniami swoich wyborców, jak w domu starają się wejść z ludem w jak najściślejszy stosunek, czyniąc w ten sposób sprawę jego swoją własną. Przetłomaczywszy ten patetyczny ustęp na zwykłą prozę, otrzymamy obietnicę wybierania centrowców-Polaków — takich, jak Królik, Szmula, Strzoda, a może i Glowatzki. Za cenę tego ustępstwa zwolennicy *Górnoślązaka* otrzymaliby „zbliżenie duchowieństwa do ludu.“

Pomysł jest dowcipny, ale chyba bardzo naiwni dadzą się nań złapać. To, czego chce ks. Skowroński, jest przecież najzupełniejszym postulatem *Katolika*, a nawet *niemieccy* centrowcy wcześniej czy później będą musieli stawiać kandydatury polskie na Górnym Śląsku, gdyż niemieckie nie będą miały żadnych widoków powodzenia. Nie wiadomo, jak będą traktowali ten nowy wybieg klerykałów zwolennicy *Górnoślązaka*, ale z dotychczasowych lakonicznych odezwań się ich organu można wnosić, że nie pójdą na lep gładkich słów takich księży Skowrońskich.

Rzecz charakterystyczna, że do zarządu nowego towarzystwa nie wszedł, oprócz ks. Skowrońskiego, ani jeden ksiądz. Widać, że nawet to, lojalne względem centrum, „zbliżenie się“ do ludu przejmuje polski kler górnośląski wielkim strachem. Nawet ci księża, którzy są uważani za „narodowców“ i używają w domu języka polskiego, nie odważą się wystąpić w charakterze Polaków, gdyż to zagrażałoby ich karyerze. A na to przedewszystkiem są czuli.

Donosiłem już w swoim czasie, że przy ostatnich wyborach do zarządu Kasy chorych nr. 3 w Poznaniu po raz pierwszy zdobyli większość Polacy. Większość polska na walnem zebraniu 5 czerwca postanowiła wypowiedzieć zawarte przez poprzedni zarząd (niemiecki) kontrakty z lekarzami-Niemcami i zastąpić ich przez Polaków. Wnioskodawcy wychodzili z tego założenia, że Kasa w ten sposób tylko zyska, gdyż lekarze-Polacy, jako władający obydwoma językami, mogą zupełnie dobrze obsługiwać tak Niemców, jak Polaków, gdy tymczasem zdarzało się, że lekarze-Niemcy przy obsługiwaniu członków-Polaków, nieznających języka niemieckiego, musieli uciekać się do swych kucharek, które pełniły funkcye tłomaczek. Następnie wnioskodawcy podnieśli ten fakt, że urzędnicy Kasy chorych przy wyznaczaniu lekarzy popierali jawnie Niemców pomimo żądania członków. Tego dowodzi różnica w sumie wynagrodzenia lekarzy-Polaków i lekarzy-Niemców. Kasa nr. 3 korzystała z usług 14 lekarzy — 8 Niemców i 6 Polaków. Pierwsi w roku sprawozdawczym otrzymali 5,344 marek, gdy ostatni zaledwie coś około 2,000 m. Wnioskodawcy przypomnieli i ten fakt, że magistrat unieważnił uchwałę walnego zebrania i zarządu, ustanawiającą kilku lekarzy-Polaków i dopiero energicznemu oparciu się zarządu ustąpił.

Ale, jakkolwiek zarząd postąpił w myśl ustawy, magistrat, który ma tylko obowiązek czuwania, by uchwały Kasy nie sprzeciwiały się ustawie, nie mając prawa naruszania jej samorządu, unieważnił uchwałę walnego zebrania na tej zasadzie, że walne zebranie kierowało się wrzekomo polityką, do polityki zaś nie należy Kas chorych nadużywać. Oczywista, że przeciwko temu unieważnieniu najlegalniejszej w świecie uchwały wniesiono protest. Nie ulega wątpliwości, że polska większość dopnie swego, lecz w każdym razie rzeczą jest charakterystyczną, że Polacy mogą korzystać z zagwarantowanych im praw tylko po wyczerpaniu różnych apelacyj, protestów itd.

Nawet w więzieniu Polacy nie mogą doczekać się „równouprawnienia“! Dotyczy to zwłaszcza redaktorów pism polskich, których obecnie conajmniej kilkunastu zaludnia różne kaźnie pruskie. Świeżo opuścił więzienie w Człuchowie jeden z redaktorów *Gazety Grudziądzkiej*, p. Stanisław Paszliński, który opowiada o formalnem znęcaniu się nad redaktorami polskimi. Względem tych ostatnich stosowane są wszystkie przepisy, istniejące co prawda na papierze, ale dawno już ignorowane przez władze więzienne. Tak np. redaktorowi polskiemu przypomina się szorstkim tonem, że ma zdjąć kapelusz, przekraczając progi więzienne. Dozorca rozpina na nim koszulę i szuka czegoś pod nią. Każe więźniowi odbyć kąpiel, poczem zmusza go do wciągnięcia ubrania więziennego,

czego się nigdy nie czyni względem redaktorów niemieckich, nawet socyalistów. Po $2^1/_2$ tygodniach redaktora-Polaka pakuje się do celi wspólnej ze złodziejami i innymi przestępcami kryminalnymi. Inspektor więzienia w Człuchowie wyraził się w ten sposób: „Trzeba koniecznie przeprowadzić, aby redaktorów polskich traktowano na równi z innymi przestępcami, bo zniewag, popełnianych przez gazety polskie, jest stanowczo zadużo.“

Świeżo znowu dwóch redaktorów polskich poszło do więzienia na 6 miesięcy. Są nimi pp. Kowalczyk i Ciemięga z *Górnoślązaka*. Temu ostatniemu pismu zdaje się zagrażać los *Gazety Robotniczej*, systematycznie ogałacanej ze wszystkich sił redaktorskich.

W ostatnich czasach komisya kolonizacyjna nabywała w przyspieszonem tempie majątki w Poznańskiem. Wydała na ten cel około 30 milionów marek. Największy kompleks majątków sprzedał jej Landbank berliński. Od niego nabyła komisya Pakosław w powiecie Rawickim (1,430 hekt.), uprzednio własność polska; Stare Bojanowo (4,000 h.) po księciu kurlandzkim Bironie; Piłę z Bodusewem (1,772 h.), po księciu sasko-altenburskim; Morasko z Glinnem (1,700 h.), uprzednio własność Gustawa Treskowa; Mocheł (1,028 h.) w pow. Bydgoskim i Popowo Tomkowo (390 h.) w pow. Gnieźnieńskim. Sam Landbank sprzedał komisyi w ciągu kilku tygodni przeszło 40,000 mórg. Po za tem komisya kolonizacyjna nabyła bezpośrednio od królewskiej kamery klasztornej w Hanowerze dobra Margonin, położone w powiecie Chodzieskim (4,000 h.); od braci Brandtów Broniszewice w pow. Pleszewskim (1,336 h. za 1.525,000 m.); Chludowo w pow. wschodnio-poznańskim (369 h.); Zielątkowo w pow. Obornickim (550 h.) od Almy Treskow w Berlinie; Wielką wieś w pow. Babimojskim (1,870 h.) od radcy Kiehma; Białężyn (480 h.) w pow. Obornickim; Iwno (1,100 h.) w pow. Szubińskim; Małe Sokolniki w pow. Szamotulskim (460 hekt.); Albertynowo w pow. Wągrowieckim i Kobelniki (1,981 h.) w pow. Strzelińskim. Te ostatnie dobra zostały kupione od byłego naczelnego prezesa Poznańskiego, barona Willamowitza - Möllendorfa. Wogóle bardzo charakterystycznem jest to wykupywanie dóbr w Poznańskiem z rąk najbogatszych panów niemieckich, do których przeszła olbrzymia część kapitałów komisyi.

Nie zabrakło zresztą i polskich właścicieli ziemskich, którzy pospieszyli po odbiór gotówki z kasy komisyi. To znaczne powiększenie się liczby sprzedawczyków-Polaków zaniepokoiło niepomału opinię publiczną Poznańskiego. Wszystkie pisma wystąpiły z ostrymi artykułami, domagając się stawiania pod pręgierz kolonizatorów, a *Dziennik Berliński* zapowiedział wydanie „czarnej księgi,“ zawierającej nazwiska właścicieli ziemskich, sprzedających swe majątki komisyi kolonizacyjnej, agentów tej instytucyi i okoliczności, towarzyszące sprzedaży. Naiwnością byłoby spodziewanie się jakichś wyników praktycznych po tem wszystkiem.

Na porządek dzienny weszły obecnie sprawy robotniczych związków zawodowych, istniejących w Poznańskiem i na Górnym Śląsku. Praktyka pokazała, że właściwie jedynemi poważnemi organizacyami zawodowemi w Niemczech są związki zcentralizowane, stojące pod kierownictwem komisyi generalnej dawniej w Hamburgu, obecnie w Berlinie. Kiedy inne miejscowe lub nawet ogólno-państwowe związki zawodowe rozsypują się w ostatnich czasach w gruzy, związki centralne rozwijają się ustawicznie i dzięki swej potędze liczebnej oddają robotnikom niepospolite usługi. I na ziemiach polskich poczęły się te związki rozrastać, choć wskutek dostania się ich kierownictwa w Poznańskiem i na Górnym Śląsku w ręce niewłaściwe z jednej strony, a małego uświadomienia robotników polskich w Poznaniu z drugiej, nie są one dotychczas pozbawione pewnych cech germanizacyjnych. Obok nich powstał półtora roku temu w Poznaniu „Polski związek zawodowy,“ rozwijający się słabo i właściwie niemający przed sobą żadnej przyszłości ze względu na tendencye jego założycieli — demokratów narodowych. Otóż obecnie wywiązał się antagonizm pomiędzy tym polskim związkiem a t. zw. „chrześciańskimi“ związkami, popieranymi przez księży. Zupełnie niezdolny do współzawodniczenia ze związkami centralnymi, związek polski począł odbierać członków-Polaków związkom chrześciańskim. Stąd burza w szklance wody. Księża Zimmermann i Mayer (Polacy) wystąpili z napaściami na związek polski a w obronie — chrześciańskiego, w gruncie rzeczy tak samo niemieckiego, jak centralne. Związek polski w tej walce zdaje się zwycięży, choć zwycięztwo to nie będzie miało wielkiej wartości, gdyż w najlepszym razie liczba jego członków wzrośnie o parę setek.

Korzystniejsze są widoki demokratów narodowych na tem polu na Górnym Śląsku, gdzie istnieje obok związków centralnych, założony przez p. Napieralskiego „Związek wzajemnej pomocy robotników chrześciańskich.“ Ten ostatni traci coraz więcej członków (których posiada jednak około 10,000), zrażonych polityką Napieralskiego i zupełną bezużytecznością tej organizacyi, nazywanej zwykle „Związkiem daremnej pomocy“ lub „wzajemnej niemocy.“ Demokraci narodowi chcą obecnie założyć własny związek, połączony w kartel z poznańskim i westfalskim. Zaszkodzi to niezawodnie związkowi p. Napieralskiego, ale robotnikom wielkiej korzyści nie przyniesie. Dla robotników polskich istnieje bowiem jedyne wyjście — wstępowanie gromadne do związków centralnych i tworzenie w ich łonie sekcyj czysto polskich z polskim językiem urzędowym, polskimi organami zawodowymi itd.

Pośrednik.

Przesilenie religijne.

W życiu publicznem Francyi główną uwagę zwraca w obecnej chwili ruch religijny. Na całej przestrzeni kraju podniecenie umysłów jest wielkie, starcia poważne i liczne. To też ciekawą rzeczą są zdania trzech odmiennego kierunku myślicieli, do których Jean Rodes zwrócił się z zapytaniem:

„W jaki sposób należy sobie objasnić, że kwestya religijna wywołuje we Francyi ruch większy, kryzys ostrzejszy, niż kwestya społeczna, która przecież dotyka bliżej interesów jednostki?“

Znakomity chemik *Berthelot*, niegdyś minister, a obecnie badacz, pochłonięty zagadnieniami naukowemi, dał następującą odpowiedź: „Fakt ten nie przedstawia nic dziwnego. Jest to rzeczą stwierdzoną zarówno przez obserwacyę, jak przez historyę, że ludzie daleko więcej są przywiązani do swych uczuć, niż do swych interesów. Uczucie religijne, jakkolwiekbądź zostało ono nabyte, zakorzeniło się od tylu wieków w sercu pokoleń, tak wsiąkło niejako w krew ludzkości, że tu już wchodzi w grę kwestya dziedziczności. Jeśli myśl wolna, zmysł badania utorowały sobie jakąś ścieżkę, to jedynie dlatego, że zarówno w dziedzinie zjawisk politycznych jak fizyologicznych organizmy nie pozbywają się niczego raptownie, ale następuje *przystosowanie*, te lub owe czynniki wzajemnie sobie przeciwne zamiast niszczyć się, jednoczą, następuje nowa forma ich skojarzenia; w ten sposób społeczeństwa naśladowały naturę. Mamy przykład na krajach takich, jak Anglia i Stany Zjednoczone, gdzie wyższe klasy społeczeństwa wyzwoliły się od dogmatów podobnie jak i u nas, ale zachowały formy zewnętrzne wierzeń. Elastyczność ich religii, podzielonej na tak liczne sekty, ułatwia znakomicie to przystosowanie się, o którem mówiłem. Co zaś do Francyi, to zostawała ona pod panowaniem Kościoła od wieków średnich, a w r. 1789 wytężyła swe siły, aby zrzucić to jarzmo i utworzyć pierwsze państwo świeckie, wolne od wszelkich wpływów religijnych. Po długiej reakcyi wraca ona obecnie na drogę wytkniętą przez wielką rewolucyę. Inne narody katolickie jak Austrya, Hiszpania, Włochy pozostają jeszcze pod władzą Kościoła, ale nie unikną tego samego kryzysu, a może nawet — jak we Włoszech — kwestya religijna przybierze jeszcze ostrzejszą formę, trzeba bowiem przyznać, że umiejętność przystosowania się nie należy do cech naszej rasy, nie jesteśmy empirykami, usiłujemy rozwiązać wszystkie kwestye w sposób matematyczny i jesteśmy wieczyście w poszukiwaniu absolutu. Ta silna skłonność do idealizmu z jednej strony, a z drugiej trwałość uczuć religijnych — tłomaczą według mnie — dlaczego starcie obecne jest poważniejsze, niż wszystkie kryzysy natury społecznej.“

Słynny geograf Elizeusz *Reclus* pojmuje sprawę poruszoną w sposób nieporównanie głębszy i szerszy, dając następującą odpowiedź: „Czyż istotnie przesilenie religijne we Francyi przewyższa w swem natężeniu walki społeczne? Przewyższa je chyba hałasem sztucznie wywołanym, w gruncie rzeczy bowiem kwestya chleba jest zawsze pierwszorzędnej wagi i jeśli otacza ją cisza, to jedynie dla tego, że co do niej wypowiedziano już wszystko i przedyskutowano. Zresztą czyż nie wraca ona w innej postaci w walce przeciw Kościołowi? Instynkt, mniej lub więcej świadomy, mówi nam o blizkim związku, zachodzącym pomiędzy zadaniem istnienia materyalnego i istnienia moralnego. Zwalczać Kościół, to także zwalczać straszny syndykat kapitałów dążący do uszczuplenia nam chleba. Zastanówmy się nad procesem zakonu „Bon Pasteur.“ Stowarzyszenia tego rodzaju, wzmógłszy swą władzę nad światem, traktowałyby nas, jak one sierotki w przytułkach, pomagałyby nam do zdobycia tego, co się nazywa rajem, drogą cierpień moralnych i umartwień fizycznych.

Nadeszła jednak chwila, gdy wymagania Kościoła, jego zuchwalstwa stały się nie do zniesienia i oto widzimy obecnie ludzi niezależnych, a nawet całe niemal społeczeństwo buntujące się przeciw władzy duchownej, której od dawna ulegano. Chińszczyzna parlamentarna nadaje dziwaczną formę tej walce i z pewnością nieraz jeszcze sprowadzi ją z drogi właściwej, narażając na klęski, ale nie należy się dać powstrzymać dla tych zewnętrznych niejako stron ujemnych; w gruncie rzeczy pewnem jest, że myśląca część narodu jest na drodze do zupełnego wyzwolenia się od katolicyzmu.

Pojednanie jest niemożliwe. Nie może być już w przyszłości podobnej harmonii pomiędzy działaczami społecznymi i katolikami, jak to miało miejsce w r. 1848. Na szczęście księża nie poświęcają już naszych drzew wolności. Jakże mogłoby być, aby każdy człowiek obdarzony uczuciem, wolą albo jedynie instynktem swobody, nie powstał przeciw Kościołowi, gdy ten kojarzy otwarcie pod swemi skrzydłami wszystkie siły reakcyi. Przecie to on powiedział bez wszelkich ogródek, wznosząc po nad Paryżem swą Bastylię religijną w postaci bazyliki Serca Jezusowego, że Francya winna być u jego nóg. Jest on bogiem na ziemi i w charakterze władzy zwierzchniej rozporządza mieczem armii, wyrokami są-

dów, materyałem szkolnym, płacą robotników, budżetem narodu.

Na mocy konkordatu dotknięty obłędem wielkości despota chciał uczynić z Kościoła część mechanizmu państwowego, a Kościół chce na odwrót uczynić z państwa część składową swej olbrzymiej maszyny; i w istocie, ileż to razy narzucił on państwu, jak swemu słudze, czynność dla siebie korzystną, niedawno jeszcze nakłaniając do popełnienia w Chinach najhaniebniejszych czynów — podpalania, grabieży i morderstwa. Jest to potężny wróg, który uosabia wszystkie zabytki przeszłości, rozporządza wszystkiemi siłami zorganizowanemi chwili obecnej i liczy w przyszłości na ciemnotę ludzi i podłość tłumów.“

Ribot ocenia kwestyę zawartą w zadanem mu pytaniu ze stanowiska psychologa, wypowiedział on już swe zapatrywanie na uczucie religijne wogóle w „Psychologie des sentiments,“ obecnie zaś odpowiada jedynie w kilku słowach:

Że kwestya religijna występuje ostrzej od kwestyi socyalnej, to daje się łatwo objaśnić. Kwestya społeczna dotyczy wyłącznie sfer robotniczych i przemysłowych, wsie i większa część miast prowincyonalnych nie wie o niej wcale lub prawie. Kwestya zaś religijna dotyka cały naród i to nietylko mężczyzn, ale kobiety i dzieci, a zwłaszcza kobiety, i w tem tkwi jej doniosłość.

Obok tej powszechności, którą uważam za główną przyczynę, widzę jeszcze inną w tem, że po za ruchem religijnym ukrywają się interesy polityczne. Partye zawładnęły tą kwestyą, walczą za nią i to wystarcza aby nadać jej znaczenie. Być może jest jeszcze trzecia przyczyna — a mianowicie niezręczność z jaką całą tę sprawę prowadzono; zdaje mi się, że przy odrobinie zręczności i umiejętności, duch świecki mógłby odnieść tryumf, nie wywołując niepożądanych zamieszek. (z.).

FEJLETON.

VERBUM NOBILE.

—

Pałuba.

Na całym obszarze naszego życia i piśmiennictwa panuje w tej chwili zamęt. Stare myśli chorują i umrzeć nie mogą, jak Leon XIII; podtrzymuje je sztucznie przy życiu jakiś dr. Lapponi. Nowe myśli, otrzymując pierścień rybaka i tyarę nieomylności, w chwili narodzin już są stare, jak Pius X, a zarazem jak on niewyraźne. Ludzie niezależni, myśli niezależne, uczucia niezależne, to u nas wielka rzadkość. Naród nasz możnaby przyrównać do młodzieńca, który nie otrzymał nowego ubrania, ale przerobiono mu do codziennego użytku pamiątkową garderobę ojca. Materyał już się zniszczył, już się rozłazi; wstawia się tedy europejskie łaty. Młodzieniec wyrósł już z tego ubrania; więc się je rozszerza, odpruwa zakładki, aby rękawy i nogawice były dłuższe. Cudzoziemiec, ujrzawszy tak wystrojonego młodziana, uśmiechnąłby się ironicznie. „Idź do krawca“ rzekłby mu. Ale choćby młodzieniec miał ochotę uczynić to, zawołałaby mama: „jakto? zrzucić chcesz drogą pamiątkę po ojcu?“ Mama bowiem, która tyle rozprawiała o naszej „indywidualności“, czuje instynktownie, że młodzieniec wraz ze spodniami staremi zdjąłby z siebie starą i kochaną duszę ojca. Mamie się jakoś zdaje, że dusza ojca siedzi w surducie, w kamizelce i w spodniach. Ale mama tego głośno nie powie, będzie to tylko „punkt wstydliwy jej psychy.“

Posiadamy uczonego, który, jak się to mówi, „chce żyć.“ Przeczytał i przestudyował wszystko, co nowoczesna nauka ustaliła w sprawie np. formacyi pentateuchu. Wie doskonale, że w *Kwartalniku teologicznym* ks. dr. Wł. Knapiński, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, objaśniając wtórych ksiąg Paralipomenon roz. XXXIV, 14 dodał samowolnie wyraz „pisany“ do słów „ręką Mojżesza“ (właściwie powinno być: „podany przez Mojżesza) i że w ten sposób popełnił naukowe oszukaństwo. Ale ponieważ „chce żyć,“ przeto każdego, który zapragnie zdemaskować ten „wtręt“ krakowskiego teologa, nazwie „hyperkrytykiem,“ własne zaś zdanie o tej kwestyi ukryje w „garderobie duszy.“

Posiadamy poetów, którzy chcą wyzwolić sztukę z pęt polityki i socyologii. Zdawałoby się tedy, że płody swego natchnienia zaniosą do naszych pism postępowych. Nie. Poniosą je do pism ultro-konserwatywnych, gdzie o jakiejkolwiek samodzielności myśli i uczucia mowy być nie może; pójdą i głosić będą, że właśnie owej samodzielności myśli i uczucia niema w pismach postępowych, że tam panuje jakaś specyalna doktryna społeczna; wiedzą doskonale, że jest inaczej. Głoszą, że żyją tylko dla sztuki, ale idą tam, gdzie otrzymują większe honorarya i gdzie znaleźć mogą większą reklamę. To pokrywanie istotnych pobudek hasłami samodzielności artystycznej jest „pierwiastkiem pałubicznym.“

Mamy ludzi, którzy w nic nie wierzą, nic nie szanują, nie posiadają żadnych ideałów, żadnych dążeń, którzy drwią z wszelkich porywów, z wszelkich aspiracyi. Po czem można ich rozpoznać? Po tem, że od rana do późnej nocy wygłaszają nam ogólniki o ideałach, o szczerości, o wielkich celach, ale nigdy nie zamienią tych ogólników na walutę kurs w kraju mającą. Gdyby ich rozkrajać jak jabłko, aby się przekonać, jakie pestki w nich siedzą, dowiedzielibyśmy się, że niezbędną jest ideowa mistyfikacya, że „mundus vult decipi,“ że jednem słowem wolno kłamać, ale niewolno robić awantur szczerościowych.

Mamy ludzi zdrowych, jak chrzan, rozumnych, subtelnych. „Ludzie ci“ pisze Karol Irzykowski, „zaczęli zazdrościć półgłówkom, bredzić o kwietyzmie, chorobliwości, wybujałościach cywilizacyi. Niektórzy uznali się za niedołęgów —dla honoru.“ Nazywa się to „komedyą charakteru.“

Mamy wreszcie ludzi oryginalnych, nowych, niezależnych, wojujących, mamy słońca, które nie świecą blaskiem miejscowym, a więc świecą widocznie blaskiem własnym. Blask jest wielki, wszyscy są nim oślepieni. Ale ktoś był na tyle niedyskretny, że przyjrzał się uważniej owej świetnie błyszczącej latarni i odkrył w niej świeczkę, którą za granicą sprzedają w najmarniejszych sklepikach. Irzykowski woła: „Pierwotniaki, siłacze, subtelniaczki, górale, bramini — maskarada; wszystko niby spontaniczne, a wszystko ma w tajemnej, ostatniej instancyi korzenie tj. filozoficzne uzasadnienie gdzieś zagranicą.“

Są ludzie, którzy przez całe życie z sobą i z najbliższem swojem otoczeniem odgrywają ustawicznie komedyę. „Między najbliższemi sobie osobami wrą ciche walki (nie mające jeszcze swego Homera) a zasada: *homo homini lupus* na terenie psychicznym święci największe tryumfy, bo tu niema ochrony państwowej, mowa zaś ludzka jest gąszczem, w którym można z najniewinniejszą miną swego bliźniego obić i obłupić.“

„Pierwiastek pałubiczny polega między innemi na inkongruencyi (nieprzystawaniu) obrazu duszy, myśli, fantazyi, teoryi, z odnośną rzeczywistością.“ Autorzy posiadają jakieś „skrytki w duszy“ przed czytelnikami, nie rzeźbią przy pomocy „ostatnich swoich sądów,“ ale w „literacko-historyczno-filologiczno-symbolicznym „volapüku,“ a nie w materyale rzeczywistości.“

Potem wszystkiem nasuwa się już wprost pytanie: czy nasze życie, nasza myśl, nasze uczucie nie jest poprostu zjawiskiem — wtórnem?

Czy cały dotychczasowy nasz dorobek, którym się tak szczycimy, jest *dopiero* naśladownictwem, a wiadomość o tem „punktem wstydliwym“ naszej duszy?

Więc mistyfikacyą i niedołęztwo na całej linii?

Oto kilka rzutów myślowych „Pałuby“ Karola Irzykowskiego, książki bardzo oryginalnej, posiadającej wszystkie pozory waryacyi i pościgu za szaleństwem, będącej jednak protestem przeciw wszelkim pseudo-waryacyom, sztucznym szaleństwom i tym podobnym oszukaństwom.

Autor obrał sobie szczególną metodę nauczania. Napisał powieść i zarazem krytykę tej powieści; oszukał i zarazem wykazał, na czem to oszustwo polegało; popełnił mistyfikacyę i natychmiast ją sam zdemaskował. Jest on powieściopisarzem i zarazem sędzią śledczym powieściopisarstwa i wszelkiej twórczości literackiej. Nie mogę się oprzeć przyrównaniu go do owego agenta policyi, który, chcąc ustrzedz ludzkość od otwieraczy zamków i amatorów cudzej własności, praktykował u złodziei, aby poznać ich sztuczki i następnie ich ścigać. Heine powiedział, że źli muzycy mogą jeszcze zostać dobrymi krytykami, jak np. złe wino ma szansę, że zostanie dobrym octem. Irzykowski wywiera inne wrażenie. Jest to ocet, który się dlatego sfałszował na wino, aby wykazać, że wszystkim gatunkom wina, jakie pijamy, ufać nie można. A ponieważ nie poprzestał na teoretycznych twierdzeniach, ale zaatakował imiennie cały szereg naszych utworów, przeto mimowoli rodzi się podejrzenie, czy to nie jest ów prokurator, który, stykając się wciąż z przestępstwami, wszędzie już teraz węszy zbrodnie; czy to nie jest ów psychiatra, który, mając do czynienia tylko z waryatami, wszędzie teraz widzi objawy waryactwa. Ale przyznać trzeba, że jedno i drugie „pokazuje“ świetnie. Tematem tej niezmiernie oryginalnej książki mistyfikacya psychiczna, oszukiwanie siebie i całego świata, zwłaszcza zaś mistyfikacya, jaką popełniają pisarze. Autor domaga się ustawicznego kontaktu z rzeczywistością. „W Pałubie nie idzie mi o dokładne pod względem historycznym określenie fluktuacyi prądów umysłowych w Polsce, ale o punkty zetknięcia się ich z niższemi szablonami, krążącymi tymczasem u dołu między ludźmi. Zresztą oficyalną historyę tych prądów umysłowych u nas trudno nawet napisać, bo musi ona wciąż iść zygzakami, a posługiwać się insynuacyą.“ Udowodnić mu szczerości niepodobna, gdyż nawet u ateisty, spadającego z trzeciego piętra na bruk, uchwyci moment, w którym ten na chwilę stanie się wierzącym, w nadziei, że nastąpi cud, który go ocali. Autor walczy dość świetnie w obronie starej zresztą zasady, „iż poezya nie jest czemś jednolitem, ale naczyniem na różne treści, prowizoryczną, pomocniczą jedynie formułkę dla pewnych dążeń ludzkich.“ Niema tedy wartości trwałej frazes: „wszystko jedno, co kto napisze, byle to była poezya.“ Woła: „my piszący jesteśmy o tyle poetami, o ile jesteśmy nieukami i oszustami.“ Tu dałoby się zauważyć, że może prawdziwszem byłoby zdanie: „my poeci o tyle jesteśmy nieukami i oszustami, o ile jesteśmy — oszustami i nieukami.“ Ale w takim razie nic się właściwie nie powiedziało. Wszyscy naśladują wszystkich. Tu rodzi się znowu pytanie: czy dlatego, że dzieci pani X. składają się z wapna, fosfo-

ru, węgla itd., taż pani popełniła cudzołóstwo z panem Y., bo on składa się z tych samych pierwiastków chemicznych? Czy Ezop, wprowadzając do swych bajek lwy i małpy, popełnił zbrodnie „posiadania skrytki przed czytelnikami, nastawienia sideł, w które chwytał podstępnie“? I czy dlatego, że Ezop wprowadzał zwierzęta do bajek, Krasicki i Kryłow rzeźbią nie przy pomocy „ostatnich swoich sądów,“ ale w „literacko-filologiczno-symbolicznym „volapüku“ i nie w materyale rzeczywistości? „Mnie tego niepotrzeba“ — woła Irzykowski. Wierzę. „Ein jedes Thierchen hat seine Manierchen.“ Ale ten okrzyk „mnie tego niepotrzeba“ jest wielce charakterystyczny. Właśnie Krasickiemu tego potrzeba, a niepotrzeba mu „punktów wstydliwych“ i „pierwiastków pałubicznych.“ Książka skrzy się jednak od dowcipu i wysoce trafnych uwag. Wartość jej polega nie na dojściu do pewnych granitowych twierdzeń, ale na tem, że dynamitową argumentacyą porusza w posadach wiele owych rzekomo granitowych twierdzeń, że otwiera dyskusyę na temat wielce żywotny. Autor nie chce mieć „jasnowidzeń *przeszłości*.“ „Wara wam od Pałuby,“ — woła do krytyków; — „przestrzegam z góry, żebyście, zanim mnie zaczniecie łaskawie pouczać, jak powinienem był Pałubę napisać, zamietli własne podwórko, zbadali, czego się wam wskutek rezultatów Pałuby przeuczyć wypada.“ Otóż idąc za tą wskazówką, nie piszę krytyki „Pałuby,“ chcę tylko zwrócić na nią uwagę czytelników, powiedzieć im, że tę książkę ze wszech miar czytać warto. Warszawskie ucho musi się przyzwyczaić do drobnych a często galicyjskich usterek językowych, jak np. „cytat“, „problem“, „ścielić“, „intuitywnie“, „opoźniał“, „pokonuje,“ pomiędzy któremi znajdzie się nawet „ubrać kapelusz“ zamiast „włożyć kapelusz,“ na co, jeżeli nie pałubicznego, to przynajmniej filologicznego „uzasadnienia“ wypadałoby poszukać także... zagranicą. Ale powiedziano — wara!

Jestem przekonany, że książka Irzykowskiego wywrze wrażenie głębsze. Każdy mimowoli zacznie się oglądać, czy czasem nie ma w duszy jakiego punktu wstydliwego, czy nie popełnia mistyfikacyi, czy nie oszukuje bliźnich itp. Może nastać szał szczerości, który jest równie obrzydliwym, jak szał obłudy. Rozumie się, że wszelkie podobne szały przejawiają się głównie w życiu towarzyskiem i w literaturze, nie sięgając bynajmniej owego „sausenden Webstuhl der Zeit.“ W dziedzinie religii, nauki, życia społecznego będą w dalszym ciągu panowały owe stosunki pałubiczne, a Irzykowskiemu przypadnie tylko w udziale honor określenia tego objawu. Bo u nas ludzie nie zmieniają się, ale ich zmienia „coś“; bierność jest naszą najcharakterystyczniejszą cechą. Dlatego może u nas tak się przyjął frazes „człowiek dobrze myślący,“ w którym to wypadku przysłówek „dobrze“ jest równoznacznikiem tego, co oznacza „jak większość,“ „jak każe interes,“ „czego wymaga karyera.“

To też spotykają nas ciągłe niespodzianki, ilekroć przypadek pozwoli nam zajrzeć do czyjejś „garderoby duszy.“ Wiadomo, że kardynał Puzyna jest krakowskiem ucieleśnieniem rzymskiego „Roma locuta.“ Tymczasem pomiędzy telegramami o konklawe pokazała się wstydliwie depesza, że podobno protest przeciw wyborowi Rampolli imieniem rządu austryackiego wniósł nie arcybiskup Gruscha, ale — Puzyna. Krakowscy stańczycy mieliby wnieść protest? To brzmi nieco paradoksalnie! Daliby się użyć za takie narzędzie? To nie do wiary! Ale zamieńmy ich podstawowy dogmat „katolicyzm panujący“ na właściwszy: „idź ręka w rękę z mocnym.“ Ponieważ galicyjscy stańczycy chcą „słuchać“ papieża, więc ten papież musi być takim, jakiego tylko słuchać „mogą.“ Przypuśćmy bowiem, że papieżem został nie Józef Sarto, ale Jan Jaurès. Czy takiego papieża mogliby słuchać? Otóż badania pałubiczne prowadziłyby niezbicie do wniosku, że w świecie tym; pozornie tak granitowym, podstawowe zasady dawnego katolicyzmu są bardzo kruche, że interes zawsze weźmie górę, często nawet interes obcy, że „być katolikiem“ to znaczy mieć ultramontańską naklejkę na dzienniczku swoich wydatków, a sprzedawać dobro ogółu za cenę rzeczy niepochwytnych.

To, co Irzykowski poruszył w dziedzinie objawów pisarskich, poruszała u nas każda niemal fala publicystyki demokratycznej. Precz z hypokryzyą, precz z kłamstwem, precz z mistyfikacyą, precz z rutyną i niedołęztwem! W pewnem towarzystwie zdarzył mi się bardzo charakterystyczny wypadek. Odezwałem się głośno z zarzutem, że kler nasz jest zupełnie pozbawiony uczuć obywatelskich. Natychmiast zagrzmiały protesty. Powstał jęk „nasza czarna armia!“ Wyszedłem do drugiego pokoju na papierosa. Aż tu nagle sunie za mną jeden, drugi i trzeci, owi wszyscy “od protestu.“ Czem panom służyć mogę? Odpowiadają: „Panie, w zupełności podzielamy pańskie zdanie, tak, kler nasz zupełnie nie posiada uczuć obywatelskich. Ale, *czyż to można głośno o tem mówić?*“ O, tu mam ciebie, pierwiastku obłudy! Ty, panie, trzymasz chłopców na stancyi i rekomendują ci ich księża? Tak? Ty, panie masz drukarnię, główne zamówienia daje kler? Ty, panie, jesteś redaktorem popularnego dziennika, więc boisz się z księżmi zaczynać? Mistyfikacya jest tedy waszym chlebem powszednim, waszem stanowiskiem, waszą płacą, waszym dochodem — hej, podnieście ją tedy do znaczenia ideału, ba, nawet religii!.. Wy *musicie* kłamać. Powiedzcie mi jedno: ilu jest u nas takich, którzy kłamać *nie potrzebują?*

Ludzie prawdziwie niezależni patrzą na pałubistów jak na niższy rodzaj ludzki. Niech ciebie utuczy twoje kłamstwo! Nie zaimponuje mi twoja otyłość, powiedział orzeł świni. Tyj, paś się, tylko nie bądź patetyczną w swoim chlewie. A świnia w ostatnich czasach bardzo się rozkochała w patosie. Od patosu, przejęta rolą i podniecona przeszkodami, przechodzi łatwo do wściekłości. Więc napada, a nie mogąc sięgnąć skrzydlacza, napełnia hałasem całe podwórko. W tej dziedzinie pierwiastek pałubiczny ma u nas może najwięcej przedstawicieli...

Ktokolwiek u nas bodaj na kilka cali odbije się od ziemi, ten musi mieć do czynienia z owym typem i znosić jego napaści. Trzebaby wszystkie bajki Ezopa przerobić, aby odpowiadały rzeczywistości. Lwy zamieniły się w potulne zwierzęta pociągowe, a poganiają je osły; sępy odprawiają posty, kruki uczą szanować cudzą własność, hyeny pouczają moralności, a świnie apostołują czystość. Lis jeden pozostał sam sobą; stał się tylko bardzo banalnym z powodu ogromnej ilości listów pasterskich, które musiał pisać do spółki z wilkiem. Gdzieś jakieś dumne orły kryją się po skałach, tworząc — opozycyę. Czy tylko u nas? Posłuchajmy, jak Fryderyk Nietzsche urąga współczesnemu „Europejczykowi“! U nas występuje to tylko nieznośniej, obrzydliwiej, wstrętniej. U nas do wszystkich tych cech dołącza się jeszcze— małość. Obłudka, nie obłuda w wielkim stylu; hypokryzyjka, nie hypokryzya dużych lisów historycznych; nie swiństwo wszechdziejowe, ale takie swojskie, takie nasze, takie dawno nieporuszane świństewko, małość, która nieraz zniewala człowieka wojującego do tragiczno - komicznego okrzyku: ach, wolałbym nareszcie, aby mnie napadł jaki porządny pies, a nie ciągle ta horda, ta gryźliwa, kryjąca się gdzieś za kołnierzami armia w...

Że nieraz współczesne dusze do czegoś wspólnie dążą, choć różnymi sposobami, i że te sposoby różne mylą ich wzajemny sąd o sobie, dowodzi fakt, że Irzykowski nie rozumie Wyspiańskiego, który przecież w trzecim akcie „Wyzwolenia“ wprowadził „Maski.“ Powtarzam: nie rozumie, gdyż urągliwie narzeka na „wprowadzenie nowego Konrada.“ Innym razem pozwolę sobie powrócić do tej sprawy, która zresztą wywołała już ciekawą dyskusyę, aczkolwiek, jak sądzę, wedle Mickiewiczowskiego dwuwiersza nieco dyskutujących „odwiodła od źródła.“ Tu, na zakończenie, zaznaczę tylko, że wedle genialnej myśli Wyspiańskiego nasi Salomonowie i Mickiewiczowi nie oszczędzili pałubstwa, przykroiwszy go „w egzegezie i tradycyi do swej wiary, jak gdyby czuli, iż w Mickiewiczu są *dla nich* pewne „punkty wstydliwe“ i że pewne jego twierdzenia trzeba ukryć głęboko w garderobie... niepamięci.

Chochoł i Pałuba! Irzykowski się z tego tłomaczy. Mniejsza o to. Ale—rzecz wielce charakterystyczna — podwójny atak na społeczeństwo z tej strony!

I słuszny. I wielce potrzebny. Nie znam bowiem gromady ludzkiej, którаby, może wskutek szczególnych warunków, w jakich się znajduje, posiadała więcej szczytnych kłamstw konwenansowych i bardziej się lękała ich wyświetlenia.

Andrzej Niemojewski.

BADANIA NAUKOWE.

Wielkie miasta.

—•—

II.

Ich znaczenie gospodarcze.

Wielkość miast, skupień ludzkich, opartych na dowożonej z zewnątrz żywności, zależną jest od wielkości dowozu, bez względu na tytuł prawny mieszkańców miasta do wytworów cudzej pracy. Im większe obszary miasto zdoła uzależnić od siebie politycznie lub gospodarczo, im większa ich naturalna żyzność, wyższy stan będącej w użyciu techniki, a co ważniejsza, im większą część wytwarzanych środków żywności miasto z miejsca wytwarzania przeciągnąć umie i może w swe wnętrze, — tem większą posiądzie możność wzrostu.

Wielkie miasto starożytności musiało być z natury rzeczy czysto wyjątkowem zjawiskiem. Plon, który ludność rolnicza w daninę panom swoim, żyjącym w mieście, nadsyłała, był, licząc na głowę robotnika, nieznaczny, jak wszelka praca niewolnych. Pierwotna technika rozporządzała przytem nader niedołężnymi sposobami potęgowania naturalnej wydatności ziemi — więc na utrzymanie Rzymu pół świata złożyć się musiało, na świetność Aten, setki miast i wysepek — a wieki średnie, które nie znały tego bezpośredniego panowania miasta nad wsią, nie znały też i miast wielkich.

Z wyjątkiem miast włoskich, które od czasów rzymskich jeszcze były miejscem pobytu wielkich właścicieli ziemskich, a zatem i miejscem spożywania rent, uiszczanych w naturze lub w pieniądzach, miasto średniowieczne płaciło za nabywane produkta wsi pracą swych mieszkańców i w ciasnych granicach własnej rzemieślniczej wytwórczości znajdowało tamę rozwoju. Miasto wielkie, to chyba stolica, siedziba panującego, bo tu zjeżdża się zwabiona świetnością dworu szlachta, przeżywająca

ze wsi płynące dochody, tu żyją opłacani ze źródeł królewskich dworzanie i urzędnicy, tu, z początkiem nowożytnej ery, pierwsi finansiści szukają korzystnego umieszczenia swych kapitałów, w pożyczkach królewskich i państwowych, tu spływają podatki, a przelewając się przez szeregi rąk, umożliwiają posożytnicze istnienie wielkiego miasta. Pod bokiem ludzi, rozporządzających znacznymi dochodami, powstają masowo nowe egzystencye: pracą własną lub łaską pańską i zachcianką trzymający się na wierzchu fali kupcy i rękodzielnicy, stwarzający przedmioty zbytku na zamówienie tych rzesz, żyjących z dworu i przy dworze.

Tak też przedstawia nam się jeszcze w 18 wieku budowa społeczna pierwszych nowoczesnych stolic, np. Londynu, który wedle zgodnego świadectwa współczesnych był „miejscem zbornem panów, szlachty, duchowieństwa, lekarzy, prawników, kupców, marynarzy, najzręczniejszych rękodzielników, najprzebieglejszych szalbierzy i „najsłynniejszych z piękności kobiet.“ Współcześni wspominają też o długach państwowych (z końcem 18 wieku, dług państwowy Anglii doszedł już do wysokości 250 milionów), jako o czynniku sprzyjającym rozwojowi miast: „wraz z pieniędzmi, które na opłacanie procentu od długu państwowego spływają z prowincyi do stolicy, ściąga i zwabiona bogactwem nowa ludność.“ *). Paryż był tak długo wyłączną siedzibą dworzan i szlachty, że jeszcze w 17 wieku La Bruyère dziwi się, że „bourgeois chce zbytkiem rodowej szlachcie dorównać.“ U fizyokratów francuskich znajdujemy często utyskiwania na „zły rozkład ludzi i bogactwa,“ na zjadaczy rent, którzy niepomni, że zawdzięczają je ziemi, ciągną do miasta, do stolicy, ogałacając kraj rolny z zasobów. A za nimi idą tłumy rzemieślników, kupców i służby, budzi się życie pełne wytworności i zbytku — zapłodnione ich myślą i mieniem. Poza stolicami istniało tylko miasto żyjące z własnych zasobów, a zatem *małe* tak długo — aż rozwój techniki zwiększył wydatności pracy przemysłowej i *rolnej*, a kapitał ujął cugle gospodarki powołując do swej służby tysiące wydziedziczonych.

W młodocianych swych latach kapitał występując w skromnej roli nakładcy, odbiorcy pracy chałupniczej, posługującej się rzemieślniczymi sposobami wytwarzania, odszukiwał ludzi w ich domostwach dostrajał się do istniejącego sposobu życia i mieszkania i nie wywoływał zmian w stanach skupienia ludności, nie był jeszcze czynnikiem miastotwórczym. Wyzyskiwanie siły prądów wodnych, wiatrów, szerokie zastosowanie drzewa w przemyśle — jako materyału surowego i opałowego — długim biegiem rzeki lub linią zalesienia rozmieszczało młyny, warsztaty i rękodzielnie, przesuwało tu i owdzie ugrupowanie domostw, nadkładało drogi w codziennem szukaniu za zarobkiem, nie gromadząc, nie skupiając ani ludzi, ani produkcyi w pewnych centrach.

Dopiero nowoczesna technika, która stworzyła system fabryczny, uczyniła z kapitału rodzica nowoczesnych miast wielkich, wrących życiem przemysłowem. Szeroko rozsianą ludność wiejską wsi przędzalniczych skupiła ona w olbrzymich warsztatach, które okoliła mieszkaniami robotniczymi, drzewo w przemyśle zastąpiła w znacznej części kruszcem i węglem, przesuwając drwali, rębaczy w górnicze i hutnicze zagłębia; w miejsce urągających ludzkiej woli prądów wodnych, oddała nam w służbę posłuszną rozkazom parę, elektryczność itd. Każda zaś osada przemysłowa, każdy komin fabryczny, zacieniający powietrze dymem, ma skłonność rozrastać się liczebnie, przyciągać podobne sobie, *jest zalążkiem miasta przemysłowego.* Ludność osady nabywa zdolności i zamiłowania do pewnego rodzaju zajęcia, które już tradycyą przechodzi z rodziców na dzieci, wyrabiając pracy miejscowej, niby firmie, pewną wziętość na rynkach i przywabiając do niej przemysłowców. Pierwsza fabryka staje się hasłem powstania szeregu innych. W Niemczech, w Anglii, w Ameryce i u nas wszystkie prawie większe miasta fabryczne mają swój odrębny charakter przemysłowy nadany im przewagą pewnej gałęzi wytwórczości na miejscu. Istniejące fabryki zapraszają do sąsiedztwa inne pomocnicze, dostarczające im środków produkcyi lub pół-fabrykatów, bo łatwość zbytu zapewniać się im zdaje rozwój pomyślny. Przemysł maszynowy w Zurychu wywołany został zapotrzebowaniem zurychskiego przędzalnictwa (w czasie wojen Napoleońskich, zamknięcie dowozu z Anglii), przemysł maszynowy Lancashire'u rozpoczął się wskutek zapotrzebowania miejscowych fabryk bawełnianych, przemysł maszynowy w Pinmasens wywołały zapotrzebowania miejscowych fabryk obuwia. Wpobliżu przędzalni znajdzie się rychło tkalnia, w pobliżu tkalni — farbiarnia, w pobliżu hut — fabryki wyrobów żelaznych itd. Za pierwszą fabryką idzie druga, ciśnie się trzecia i dziesiąta, a każda podlega temu zasadniczemu prawu konkurencyi kapitalistycznej, które rość każe, rość ciągle, bo ta chwilka czasu, zdobyta nad sąsiadem, przyrzeka obfite żniwo nadprzeciętnych zysków. Rosną fabryki a z nimi i ludność robotnicza, ściągana z blizka i z dala, z zagranicy i z za morza, rośnie miasto w tempie szalonem, bo wybijanem gorączką tańca życia i śmierci, w którym wirują kapitaliści-zapaśnicy. Oto przykładów parę. Liczba mieszkańców wynosiła:

	W r. 1760	W r. 1881
Manchester	36.000	393.676
Birmingham	30,000	400,757
Sheffield	25,000	284.410
	W r. 1843	W r. 1900
Essen	7,175	118,863
Elberfeld	34,956	156,936
Düsseldorf	26,010	206,584
Barmen	32,984	141,948
	W r. 1840	W r. 1897
Łódź	18.600	315,000

W r. 1880 posiadały Niemcy 14 miast, liczących przeszło 100,000 mieszkańców, w r. 1890—26, w r. 1900 już 33! Podczas gdy wzrost ludności w okresie 1890—1900 wynosił 14,5%, ludność wielko-miejska w tym samym okresie powiększyła się o 35,5%! Szósta część mieszkańców cesarstwa niemieckiego mieszka obecnie w miastach o stu tysięcznej przeszło ludności, a zatem w miastach wielkich, według przyjętej przez statystykę normy.

W Stanach Zjednoczonych, Ameryki Północnej, które przez dwa pierwsze wieki swego istnienia były kolonią wybitnie rolniczą, z początkiem XIX w. zaledwie 20-ta część ludności mieszkała w miejskich gminach, liczących powyżej 8,000 mieszkańców. W r. 1860 mamy tu już 10 miast stu tysięcznych, w r. 1870—14, w r. 1880 —20, w r. 1900—38, pomiędzy którymi znajdują się 3 miasta milionowe (Nowy-York, Chicago, Filadelphia) i trzy inne z ludnością półmilionową. Ludność wielkomiejska, a z nią i miasto wzrasta nietylko absolutnie, ale i relatywnie — w r. 1880 wynosiła 14,6%, w r. 1890 17,1%, a w r. 1900 18,8%, ogółu mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Pierwsze wszakże miejsce w świecie zajmuje swą „wielkomiejskością“ klasyczna kraina kapitalizmu, Anglia. Prawie $^1/_3$ ogółu mieszkańców (29,3%) mieszka tu w miastach stu tysięcznych *)

Już pierwszy rzut oka na statystykę zawodową dowodzi nam związku miast z kapitalistyczną wytwórczością. W Niemczech przeszło połowa zarobkującej ludności miast wielkich zatrudniona jest w przemyśle, a w Stanach Zjednoczonych miasta powyżej 20,000 mieszczą w swym obrębie przeszło 60% ogółu fabrycznej ludności. Nowoczesne życie przemysłowe ma swe podścielisko w nowoczesnem wielkiem mieście, również jak i nowoczesny kapitalistyczny, drobny handel.

Robotnik miejski, sprzedając swój towar, pracę, stwarza równocześnie w granicach wytkniętych zarobkiem silny popyt na „towary.“ Brak mu nietylko czasu, ale nawet i tej zwinności (jaką miały ubiegłe generacye), potrzebnej do zrobienia najprostszych nawet statków i przedmiotów do użytku. Szczupłość wolnego czasu i zarobku sprawia, że chętniej udaje się do sklepu po tani, gotowy towar, niż do rzemieślnika, po jego ściślej może i sumienniej wykonaną robotę, ale wymagającą zamówienia, mierzenia i większego jednorazowo wydatku. Na tle gorączkowego, pełnego niepokoju życia „wielkomiejskiego,“ targającego nerwy troską o jutro, powstaje też w wielkich miastach bezustanne zapotrzebowanie nowości, bo przemysł, który dziś tłumy w zdumienie wprawia, jutro już nuży, męczy i wkrótce idzie do kąta — między graty. Szybka zmiana „mody“ obniża wartość starannego, trwałego wykończenia — gdyż wycofywa z użycia przedmioty, zanim czas zdołał je zniszczyć, w mniej zamożnych warstwach wielkomiejskich potęguje popyt na tuzinkowy, tani towar na „gotowe“ suknie i sprzęty. Miejska proletaryuszka, która swą młodość spędziła w fabryce, mało obznajmiona z kobiecemi zajęciami, chętnie zastępuje bodaj część pracy domowej towarem zakupionym w sklepie (np. szycie odzieży — tandetną konfekcyą), a sama szuka dalej zarobku.

Im większe miasto, tem intensywniejszy popyt na „towary,“ większe obroty w handlu i tem znaczniejsze kapitały znaleźć w niem mogą umieszczenie. „Wielkie magazyny nowości,“ pałace drobnego handlu o milionowych obrotach, których zadaniem jest odpowiedzieć nawet najwybredniejszemu gustowi, „tani bazar,“ gdzie lichy towar formą i barwą zbliżony często do najdroższych wyrobów, a przecież ceną dostępniejszy dla uboższych, w wyzywający sposób nęci oko — to przesiebiorstwa kupieckie wyrosłe na gruncie miast wielkich, tu wyłącznie potrzebne i tu tylko możebne. Wypłynęły one nietylko z warunków ekonomicznych, ale i z psychicznego nastroju kupujących mas wielkomiejskich.

Daleko idące zróżnicowanie w przemyśle, doszczętne zerwanie z pracą domową na zaspokojenie własnych potrzeb, pogłębia gospodarcze znaczenie kupca, pośrednika między producentem a konsumentem, oraz między poszczególnymi rodzajami wytwórczości: w pobliżu przedsiebiorstw fabrycznych kupiectwo gromadzić musi handel. W wielkich miastach skupia się nietylko wymiana produktów między wsią a miastem, rynkiem miejscowym a zagranicznym, ale nawet gospodarcza komunikacya zapadłych kątów prowincyonalnych odbywa się najczęściej przez rynek stolicy, wyczuwającej najodleglejsze zapotrzebowania, najodleglejszą podaż, regulującej, rozdzielającej krążenie bogactw — za odpowiednim zyskiem. Wielkie miasta niemieckie, które mieszczą w sobie szóstą część ogółu ludności Niemiec, pochłaniają aż *trzecią* część zarobkujących handlem. Obok przemysłu wybija się na wierzch handel jako równorzędne zajęcie „wielkomiejskie“ i zagraża już butnie fabryce wyrugowaniem z wielkomiejskiego bruku, przerzuceniem jej na prowincyę.

Racyonalizm właściwy kapitalistycznemu wytwarzaniu, każe szukać w miarę wzrastania renty gruntowej w miastach

*) Patrz: D. Hume, Essays II, 114.

*) Waentig: „Die wirtschafliche Bedeutung der Grossstädte“ (Die Grossstadt), Drezno, 1903.

i organizacyj robotniczych, objawiających się żądaniem wyższej płacy, krótszego dnia roboczego, które przeważnie powstają na gruncie wielkomiejskim, tańszej pracy i dogodniejszych warunków produkcyi. Stąd w Stanach Zjednoczonych w pewnych gałęziach przemysłu uwidocznia się już tendencya do opuszczenia miast wielkich, które nabierają charakteru coraz wybitniej handlowego, stąd i w Niemczech popęd do pewnej decentralizacyi przemysłu i nowo-obudzona baczność na siły przeciwdziałające rozwojowi miast wielkich — po długim okresie, wśród którego przeważało zdumienie nad bujnością ich wzrostu *).

Wzrost ten nie jest bynajmniej zagrożony. Nowopowstające osady fabryczne z wielkomiejską przeszłością stają się ośrodkiem krystalizacyjnym dla miast nowych, ku którym ściąga od roli ludność okolicznych wsi i miasteczek, do stolic zaś napływa zysk od umieszczonego zdala kapitału. Rośnie bowiem znaczenie kredytu w życiu gospodarczem, udział wielkich instytucyj kredytowych i prywatnych wierzycieli w przedsiebiorstwach przemysłowych. Wraz z wielkością przedsiebiorstw następuje i tu zupełny rozdział między własnością a pracą, który możnej, rodowej szlachcie Włoch, Anglii pozwolił uświetnić stolice zbytkiem przeżywanej tu renty, powstaje obok feodalnego, przemysłowe rentyerstwo i przeżywaną w wielkich miastach nadwartością stwarza byt dla nowych egzystencyj. Upust pracy przemysłowej, ciążącej ku miejscu najtańszej produkcyi, nagrodzony zostaje powstaniem licznych, nowych gałęzi wytwórczości, obliczonych na zaspokojenie wytwórczych potrzeb bogaczy.

A przytem między wielkiem miastem a jego okolicą wytwarza się wszędzie dzięki taniości nowoczesnych środków komunikacyjnych tak żywa wymiana ludzi, a z nimi i myśli, tak silne zadzierzgnięcie węzłów wspólnoty życia i interesów, że miasta asymilacyjną siłą swej wyższej kultury zdobywają pokojowo ogromne sąsiedzkie przestrzenie, rozszerzają swój obszar i swoją ludność, pokrywają z łatwością wszelkie straty: miasto zrasta się ze swoją okolicą w jedną całość faktycznie i prawnie.

Wysoka renta gruntowa nie wpływa na wyludnianie się miast wielkich, ale raczej na sposób grupowania się zajęć i ludzi w ich obrębie. Śródmieście staje się i dla bogaczy zbyt drogie i gęstością zabudowania zbyt mało nęcące na prywatne mieszkanie. Tu się panoszy wielki handel, banki i biura przemysłowców, ma swą siedzibę administracya państwa i miasta. W dalszych kręgach mieszka ludność zamożniejsza, objęta kołem rzemieślniczych, skromniejszych ulic, na krańcach stoją fabryki, mieszczą się dzielnice robotnicze, z daleka zaś od nich, tam, gdzie miasto styka się z zielonością przyległych wiosek, wznoszą się w ogrodach wille bogatych, łączące swobodę wiejskich mieszkań we własnym dworze z wielkomiejskim komfortem i wielkomiejską kulturą — o krok tylko odległą.

Wielkości skupień miejskich nic na razie nie grozi, ale coraz ostrzej rysują się za to różnice między miastami czysto fabrycznemi, robotniczemi o *aktywnym bilansie handlowym*, a rezydencyami władz, rentyerów, giełdziarzy, finansistów, kierujących z biurka telegrafem, telefonem ruchami armii, zdobywającej bogactwa, nadsyłane im do wielkich miast stołecznych, których cechą charakterystyczną *pasywność bilansu*.

Bogactwo, wyciskające swe piętno na nowoczesnych wielkich miastach, przychodzi na świat, jako własność ruchomego kapitału — statystyka podatku osobisto-dochodowego rozprasza wszelką wątpliwość— a szczęśliwa gra na giełdzie i spekulacya rynkowa stwarza obecnie równie prawomocne tytuły posiadania i sprowadzania do miast wielkich żywności i przedmiotów zbytku, jak ongi szczęśliwa walka na polu chwały, zakończona nałożeniem daniny na pokonanych.

Helena Gumplowicz.

*) Sombart: „Zur Genezis der kapitalistischen Start.

LITERATURA I SZTUKA.

J. Mc Neil Whistler.

James Mc Neil Whistler, zmarły niedawno w Londynie, urodził się w r. 1834 w Ameryce (według niektórych w Baltimore, według innych — w Lowell), dokąd dziadek jego w początku zeszłego stulecia przywędrował z Irlandyi. Ojciec, major George Whistler, inżynier został powołony na stanowisko naczelne przy budowie kolei Petersbursko-Moskiewskiej, wskutek czego przyszły artysta lata dziecinne spędził w Rosyi. Po śmierci ojca powrócił z matką do Ameryki i wstąpił do szkoły wojskowej w West-Point, w której niegdyś i Edgar Poe się kształcił, lecz po jej ukończeniu pożegnał się na zawsze z karyerą wojskową, udając się do Paryża studyować malarstwo. W roku 1863 osiedlił się w Londynie, gdzie z małemi przerwami aż do zgonu pozostał.

Whistler należał do najwybitniejszych, najoryginalniejszych osobistości współczesnego świata artystycznego. Wśród szerokiej publiczności mało był znany, lub tylko dzięki rozmaitym dziwactwom i licznym procesom z mecenasami zbyt wymagającymi lub też zbyt skąpymi. Najgłówniejszą z tych spraw był niezawodnie pamiętny, — i ciekawy z punktu widzenia względności wszelkiej krytyki, — proces, wytoczony znakomitemu Ruskinowi za ujemną i zbyt obelżywą ocenę obrazów artysty. Ale zato wśród miłośników i znawców sztuki Whistler miał zapalonych zwolenników i wielbicieli, ceniono go wysoko i wpływ jego na pokolenie współczesnych malarzy był bardzo znaczny. Łatwo się to zresztą da pojąć. Dzieła Whistlera nie odznaczają się ani porywającym temperamentem, ani głębią uczucia lub wielką siłą charakterystyki—tem, co najwięcej przyciąga i podbija przeciętnego widza. Nie, wszystko co tworzył było wyrafinowane, lecz ogromnie subtelne, aby to należycie ocenić trzeba było mieć dużą kulturę oka i poczucia estetycznego; nawet mistrzowstwo jego techniki nie każdemu było widoczne i dostępne. Whistler, była to natura nawskroś malarska, żyjąca tylko w świecie barw, brzydząca się wszelkiemi przyprawami anegdotycznemi, dawał on wrażenia czysto malarskie, a ogólna harmonia tonów barwnych była dla niego głównym celem w malarstwie. W jego obrazach brak zupełnie owej dawnej, określonej bryłowatości przedmiotów, wyraźnego rysunku, konturu; formy toną w miękkiem, przezroczystem lub mglistem powietrzu, a pojedyńcze, barwne plamy w sposób wysoce artystyczny w jedną piękną zlewają się całość. Whistler chętnie przed publicznością zaznaczał, że tę ogólną harmonię kolorów uważa za pierwiastek zasadniczy swej twórczości: większość jego płócien, prócz, lub też zamiast zwykłego tytułu, nosiła jeszcze określenia w rodzaju: „arrangement en gris et noir“ lub „harmonia srebra i fioletu itd.“ W tem dążeniu do połączenia głównych kolorów obrazu w jeden dźwięczny akord było coś pokrewnego z muzyką: wrażenie niektórych malowideł Whistlera można porównać z nastrojem, wywołanym przez utwór muzyczny.

Prof. Muther trafnie zaznacza, że Whistler doprowadził do ostatniej granicy kierunek, który w pierwszej połowie zeszłego stulecia rozpoczęła francuska szkoła z Fontainebleau. Ten kierunek polega na bardziej malarskiem traktowaniu tematu w przeciwieństwie do strony czysto rysunkowej, dawniej górującej. Na tem tle stanowi on kwintesencyę cech najbardziej artystycznych i wyrafinowanych, jakie malarstwo w przeciągu ostatnich dziesięcioleci ujawniło. Przy zupełnie indywidualnym stylu łączy on w sobie wykwintność barw Velasqueza, lotność i śmiałość sposobu malowania impresyonistów oraz świetną dekoracyjność i subtelny smak Japończyków. Nie dziw więc, że był ulubionym artystą smakoszów estetycznych.

Jednak nie należy uważać Whistlera tylko za wielki talent dekoracyjny, wydelikaconego kolorystę. Kto widział wzruszający prostotą i sentymentem jego portret „Matki“ w Paryżu, kto choćby na zasadzie dobrej reprodukcyi zna jego niezwykły portret Carlyle'a, mający w sobie coś mistycznego, i liczne, przepyszne portrety kobiece — ten nie będzie wątpił, że to był nietylko malarz pierwszorzędny, lecz i poeta, dusza twórcza, umiejąca głęboko zajrzeć w świat wewnętrzny człowieka, któ odrzucając wszystko, co w nim znaleźć może chwilowego, drugorzędnego, umie stworzyć jego artystyczną syntezę.

Po za malarstwem Whistler był jeszcze wielkim, a może nawet największym w sztuce graficznej, specyalnie w akwaforcie. Jeśli w jego obrazach malowanych dopatrzyć się można rozmaitych wpływów i pewnego eklektyzmu, to w akwaforcie, wedłg orzeczenia znanego w tym zakresie specyalisty, dr. Hansa W. Singera w Dreznie, staje przed nami, jako śmiały nowator, i zupełnie się na poprzedzających go mistrzów nie ogląda. Pod względem oryginalności jedynie z Rembrandtem na tem polu porównać go można. Z nadzwyczajną umiejętnością wybiera zwykle najbardziej charakterystyczne pierwiastki jakiegoś motywu i nielicznemi, nader delikatnemi kreskami je odtwarza, pozostawiając fantazyi widza szerokie pole dla dopełnienia rysunku. W tej sztuce „niedopowiadania,“ lakonicznego a świetnego zaznaczania tematu nikt ze współczesnych akwaforcistów dorównać mu nie mógł. Akwaforty Whistlera są bardzo cenne i rzadkie, szczególnie serye widoków z Wenecyi, Londynu, Skandynawii i Holandyi.

Whistler był czynnym i na niwie literackiej. Dowcipna jego książka „The Gentle Art of making Ennemies“ (Sztuka robienia wrogów) zawiera bardzo zajmujący odczyt o sztuce, wygłoszony w Londynie, Oksfordzie i Cambridge. Nie jest to całkowita teorya sztuki, lecz szereg głębokich i trafnych o niej aforyzmów. Jeden doskonale oświetla rodzaj twórczości samego autora: „Przyroda dla artysty to mniej więcej to samo, co dla muzyka skala wszystkich tonów. Jeśli żądasz od artysty, by ci odtworzył całą przyrodę taką, jaką jest, to dlaczego nie żądasz od muzyka, by usiadł na klawiaturze? Obaj z danych pierwiastków powinni wybierać i łączyć; tylko wtedy powstaje harmonia dzieła sztuki...“

Paweł Ettinger.

POEZYE

Dwie rzeki.

Szalona rzeka.

Wstrzymaj się, dzika rzeko! Dokąd ciskasz
[wody
Na łeb, na szyję, z warkiem bezsilnych grani-
[tów?
Tchu nabierz! Stój!.. Nie słucha. Odbity od
[szczytów,
Głos ginie w ryku fali, rwącej bez przeszkody.

Nie wody Terek niesie. Edredonów puchy,
Srebrną gazą owiane, bałwanami miota —
Siwiuteńki jak starzec, którego zgryzota
Lat winna była zakuć w bezczynu łańcuchy.

Lecz Terek wiecznie młody. Jakąż siłą tryska,
Energią niezmożoną i zbójecką butą
Ten prawy syn Kaukazu! E, do niego z blizka
Nie podchodź lepiej! Buchnie dzikością rozzutą:

Pokaże ci, kto panem w Darjalskiej cieśninie.
Pokaże ci, że śmiałek podejdzie — i zginie!

Nad Araksem.

Jeszcze mi echem echa dzwonią szklenic szczęki,
Gorący rozgwar tłumów, walk zduszone krzyki:
W ciasnocie pracującej ciżby koncert dziki;
Kamienny śmiech zwycięzcy, zwyciężonych
[jęki —

A tutaj?.. Musiał mieszkać kiedyś Anioł Ciszy,
Na stepie, nad tą wodą — niemą, ołowianą,
W płaskich, nagich pobrzeżach bezkreśnie
[rozlaną,
Gdzie ucho chyba nikły mewy pisk usłyszy.

Ni sita, ni komyszy, ni jednej wikliny: —
Nic. Wielkie, nizkie brzegi — i dale bez krańca.
Leżę tu. A nade mną wloką się godziny:

Senne widma Milczenia. Z za cichego szańca
Coś mnie jednak wypędza, pozbawia gościny
I nie daje odmawiać dum moich różańca.

Wacław Rogowicz.

NA MARGINESIE.

Na ofiarę ludziom. W paryskim Instytucie Pasteura zaszczepiono szympansowi dla celów doświadczalnych przymiot, który „dobrze się przyjął.“ Ponieważ okazy tej małpy są bardzo drogie, przeto uczeni będą się starali możliwie wyzyskać nabyty egzemplarz i przeprowadzą go przez wszystkie stany strasznej choroby. Niepodobna temu przedsięwzięciu odmówić wagi i użyteczności, ale jednocześnie jakże okropny wynurza się z niego egoizm człowieka! Biedny szympans musi przyjąć w siebie zarazę, musi długo cierpieć, przechodzić rozmaite okresy wstrętnej choroby po to, ażeby rozpustnikom ludzkim dostarczyć ze swych męczarni jakiejś wskazówki leczniczej.

Międzynarodowy kongres seismologiczny odbył się w Strasburgu. Uchwalono na nim międzynarodową organizacyę badań trzęsienia ziemi i opracowano odpowiedni statut. Ma on na celu rozszerzenie pola seismologicznych spostrzeżeń do najdalszych granic świata i powołania jak największej liczby uczonych do wspólnej roboty. Koszta jej rozłożono proporcyonalnie na wszystkie państwa, a mają one wynosić ogółem 20,000 marek. Wybrani delegaci zbierają się cztery razy na rok, a wszelkie instytucye naukowe, zajmujące się trzęsieniami ziemi, mogą wysyłać na te obrady swych przedstawicieli z głosem doradczym. Biuro centralne mieści się w Strasburgu przy tamtejszej „Zentralstation der Erdbebenforschungen.“ Stowarzyszenie zamierzono na lat 12 (poczynając od kwietnia 1904 r.).

Dochody Watykanu (według *Jahrbuch'u* Kürschnera z r. 1902) wynoszą rocznie około $7^1/_4$ milionów lirów (około 3 mil. rubli). Składają się one przeważnie z dobrowolnych ofiar katolików — świętopietrza. Z tej sumy dla papieża na jego prywatne potrzeby przypada 500,000 lirów, resztę otrzymują zakony, galerye, muzea, szkoły itp. Pensya tedy papieża odpowiada liście cywilnej, ale z niej musi on pokrywać koszta podarków, znaków orderowych, zakupów do galeryj, wsparć itd. Leon XIII żył bardzo skromnie (wydawał na siebie 5 lirów), nadto obchodził ustawicznie rozmaite swoje jubileusze, przy których dostawał miliony w gotówce i klejnotach, mógł więc zebrać olbrzymi majątek, zwłaszcza że w jałmużnach nie był nawet hojnym. Poniósł jednak znaczne straty na spekulacyach giełdowych, musiał karmić zapomogami nienasyconych bankrutów arystokratycznych, których rodziny zasłużyły się papiestwu, zaspakajać coraz wyższe potrzeby i coraz większe długi krewniaków, a wreszcie utrzymywać kolosalny „dwór,“ składający się z 3,160 osób, które swemi wymaganiami nie przypominały wcale drużyny Chrystusa. Rząd włoski zobowiązał się płacić papieżowi $3^1/_4$ mil. lirów. Ponieważ Pius IX i Leon XIII nie przyjęli tych pieniędzy, więc parlament postanowił nieodebrane przelewać do kasy państwa.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Gaz. Polska* donosi, że zwyczaj wyprawiania złodziei, wypuszczanych z więzienia po odsiedzeniu kary, na pobyt do różnych miejscowości pod Warszawą, ma być zniesiony, a natomiast utworzone będą dla nich kolonie poprawcze.

— Zatwierdzoną została ustawa kasy pogrzebowej w Pułtusku.

— Dzienniki odeskie podają następujący rozkaz gen. Kaulbarsa, dowódcy wojsk okręgu miejscowego: „Z dochodzenia dozoru prokuratorskiego wojskowego sądu okręgowego odeskiego, pozostający na urlopie w Chersoniu kornet lejb-gwardyi pułku ułanów Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana, Skadowski, oskarżony został o to, iż w d. 18 kwietnia r. b. na bulwarze Gimnazyalnym w Chersoniu, w sprzeczce ze studentem uniwersytetu odeskiego, Mierszawcewem, z powodu pogardliwego traktowania go, w rozdrażnieniu wystrzelił do M. z rewolweru z odległości dwóch kroków, zadawszy mu ranę na wylot w okolicy prawego policzka i ucha, która to rana nie pociągnęła za sobą śmierci z przyczyn od oskarżonego niezależnych, co przewidziane jest art. 9, 115 i 2 cz. 1455 art. ust. karn. wyd. 1885 r Za to działanie występne, kornet Skadowski, na zasadzie 260 i 568 art. ust. sąd. wojsk., oddany zostaje pod sąd wojenno-okręgowy.“

— Władza uznała za pożądane, ażeby w przedsiebiorstwach drobnych, jak cukiernie, masarnie, piekarnie itp. stały lekarz czuwał nad zdrowiem robotników. Dotychczas ten przepis obowiązywał zakłady przemysłowe, zatrudniające najmniej 50 robotników.

— Gazeta *Kawkaz* ogłasza, że z rozporządzenia gubernatora tyfliskiego, za zaburzenia uliczne i nieposłuszeństwo rozporządzeniom policyi skazał na areszt 3-miesięczny: 18 piekarzy, 4 rzeźników i 5 wyrobników, oraz 6 subjektów na areszt miesięczny.

— W *Wied. grad. odesk.* ogłoszono urzędowo o skazaniu w drodze administracyjnej za udział w zaburzeniach ulicznych w d. 30, 31 z. m. i 1 b. m.: 96 osób stanu włościańskiego, 77 — mieszczańskiego, 3 — szlacheckiego; 2 — kolonistów z gubernii Podol. skiej, 3 — poddanych austryackich i 7 kozaków z gubernii Połtawskiej. W d. 31 z. m. i 1 b. m. gazety *Odes. listok* i *Odes. now.* nie wyszły wcale. Numery za oba te dni ukazały się razem dopiero w d. 2 b. m. Urzędowa gazeta *Wied. odes. gradonacz.* nie przestała wychodzić.

— Senat rządzący wyjaśnił, że decyzye sądów okręgowych i izb sądowych w sprawie zatwierdzenia lub unieważnienia wyroków sądów polubownych ulegają zaskarżeniu w drodze kasacyi.

— W ministeryum spraw wewnętrznych rozpatrywaną jest sprawa polepszenia bytu uczniów rzemieślniczych. Mają być utworzone zgromadzenia rzemieślnicze w większych miastach, oraz wydawane nagrody lub zapomogi dla warsztatów, które zaprowadzą należytą organizacyę praktyki uczniów.

— *Bak. Izw.* donoszą, iż właściciele kopalni, skutkiem przerwy w robotach, ponieśli 12 milionów rubli strat. W Baku przebywa w tej chwili przeszło 1,000 wojska. W więzieniu miejscowem siedzi 520 aresztowanych, w tej liczbie 22 kobiety.

— Według wykazów biura emigracyjnego w Nowym Yorku, od d. 30 czerwca r. z. do 30 czerwca r. b. przybyło emigrantów z Europy do Stanów Zjednoczonych: 451,190 mężczyzn i 180,195 kobiet, w tej liczbie: Włochów 169,755 mężczyzn i 37,721 kobiet, Polaków 46,302 mężczyzn i 18,296 kobiet, Żydów 34,070 mężczyzn i 26,754 kobiet, Niemców 33,197 mężczyzn i 22,224 kobiet, Skandynawów 32,075 mężczyzn i 17,608 kobiet.

Z Poznańskiego. Na zgromadzeniu, zwołanem w celu zorganizowania związku strzeleckiego dla marchii Brandenburskiej i Ks. Poznańskiego, postanowiono uzupełnić ustawę stowarzyszenia wstawieniem paragrafu o popieraniu niemczyzny w prowincyi poznańskiej.

— Na zgromadzeniu ludowem w Środzie uchwalono rozpocząć starania o ponowne zaprowadzenie nauki czytania i pisania po polsku w szkołach ludowych.

— *Gazeta Toruńska* tak opisuje chwilę powrotu Jana Brejskiego posła chełmińsko-toruńsko-wąbrzeskiego z więzienia, w którem przesiedział dwa miesiące. „Na dworcach w Golubiu i Kowalewie przyjmowano p. Brejskiego bardzo owacyjnie. Do Torunia przybył o godz. $5^1/_2$ po poł. Wielka liczba rodaków i rodaczek zebrała się na dworcu, aby p. Brejskiemu zrobić owacyę. Skoro się zjawił na peronie, rozległ się głośny okrzyk radosny na jego cześć. Następnie udał się w dorożce do redakcyi, pięknie przybranej w girlandy i napisy powitalne. I tu czekały go różne owacye. Kilka dziewcząt w bieli wręczyło mu piękne bukiety. Jedna z nich wygłosiła stosowny wierszyk. Rozrzewniający był widok, gdy do redakcyi zaczęły napływać tłumy i ze łzami w oczach witały nowego posła. P. Brejski tem wszystkiem był bardzo wzruszony. Przyjęcie posła odbyło się we wszystkich miastach, przez które przejeżdżał, bardzo spokojnie i poważnie.“

— Sąd w Bytomiu polecił policyi, aby skonfiskowała wszystkie pieśni narodowe polskie, wydane w latach 1902—3, we wszystkich księgarniach lub sklepach.

Szkoły i wychowanie. Na podanie w sprawie otwierania niedzielnych szkół luterańskich, mieszanych ministeryum oświaty dało odpowiedź, że nie widzi potrzeby tworzenia tego rodzaju szkół dla jednego wyznania, nie zabrania jednak ustanawiać przy szkołach początkowych posad nauczycieli wyznania luterańskiego.

— W przyszłym roku szkolnym w instytutach weterynaryjnych wprowadzone będą kursa mięsoznawstwa.

— *Siew. Kraj* donosi, że w moskiewskim okręgu naukowym wydano rozporządzenie ograniczające przyjmowanie Żydów do wyższych zakładów naukowych; do liceum demidowskiego ma być podobno przyjętych w r. b. zamiast 5, tylko 3% Żydów. (*Kur. Warsz.*)

— Ministeryum oświaty zawiadamia, że wszelkie pozwolenia na bezpłatne wykłady dodatkowe buchalteryi, arytmetyki, korespondencyi itp. w szkołach niedzielno-handlowych zależne są od ministeryum skarbu.

— W Paryżu został założony Polski Uniwersytet ludowy z następującym statutem: § 1. Celem P. U. L. jest stworzyć w Paryżu ognisko, w którem robotnicy, mówiący po polsku, mogliby w wolnych chwilach zbierać się dla wzajemnej wymiany myśli, kształcenia się, słuchania wykładów, zasięgania pożytecznych wiadomości, oraz dla rozrywki. § 2. P. U. L. nie może należeć do żadnej organizacyi politycznej, przyjmować udziału w manifestacyach, urządzać zebrań w celu protestowania lub uchwalania jakichś rezolucyj, z wyjątkiem spraw tyczących się specyalnie jego inte-

resów. § 3. Do P. U. L. należeć może każdy bez różnicy przekonań, opłacający regularnie 1 fr. miesięcznie itd. Instytucya ta wkrótce będzie posiadać swój osobny lokal, bibliotekę i czytelnie. Otwarcie jej nastąpi w pierwszych dniach października.

Wiadomości naukowe. Według doniesienia dzienników lwowskich, Piotr Chmielowski ma być mianowany profesorem literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim.

Literatura i prasa. Galicyjski wydział krajowy ogłosił konkurs na utwór sceniczny w języku polskim, z zakresu dramatu, komedyi lub sztuki ludowej, obejmujący najmniej trzy akty i zapełniający cały wieczór.; Na ten cel przeznaczono 2,000 k.; wysokość nagrody za utwór wyróżniony zależeć będzie od orzeczenia sądu; praca pozostaje własnością autora. Termin ostateczny oznaczono na koniec grudnia r. b.

Koleje i komunikacye. Na linii kolei Kaliskiej otwarto przyjmowanie i wydawanie depesz wewnętrznych i międzynarodowych.

— Kolej wązkotorowa Herby-Częstochowa włączona została do ogólnej sieci w komunikacyi bezpośredniej, osobowej i towarowej.

— Ministeryum komunikacyj zamierza utworzyć zawodowe szkoły kolejowe z kursem rocznym.

— *Nowosti* donoszą, że postanowiono wagony osobowe na wszystkich kolejach rosyjskich oswietlić elektrycznością.

Klęski żywiołowe. Burza gradowa, która szalała w zeszłym miesiącu w okolicach Kielc, w kierunku Opatowa, zniszczyła plony rolne w kilkunastu wsiach na obszarze kilku tysięcy morgów, zburzyła kilkadziesiąt stodół i domów mieszkalnych. Grad padał tak wielki i gęsty, że w niektórych miejscowościach przybił do ziemi i wytłukł wszystko zboże i inne ziemiopłody.

— W powiecie Ihumeńskim, gub. Mińskiej, burza poczyniła ogromne spustoszenia w miasteczku Szach i wsiach okolicznych.

— W miasteczku Bohopol, gub. Podolskiej, pożar pochłonął 20 kilka zabudowań wraz z dobytkiem mieszkańców; w Dubnie, gub. Wołyńskiej, spaliła się cała dzielnica wraz ze sklepami i towarami; w miasteczku Szkudzie, g. Kowieńskiej, zgorzało 30 kilka domów mieszkalnych; m. Szwekszny, w tejże gubernii uległo całkowitej pożodze, ocalało tylko kilkanaście domów.

— Na południu Rosyi w gub. Kijowskiej, pow. Nowozybkowskim, huragan zniszczył doszczętnie trzy wsie, powyrywał wszystkie drzewa i stratował plony. Szpital z chorymi uniesiony został w górę i rzucony z taką siłą, że wielu z nich zginęło na miejscu. W miasteczku Fataż huragan zniszczył 70 domów. Na Bukowinie rosyjskiej grad spustoszył kilka tysięcy dziesięcin ogrodów owocowych, warzywnych i pól ze zbożem. W gubernii Kijowskiej kilkakrotnie padające grady dotknęły klęską prawie wszystkie powiaty. Straty nieobliczone i widmo nędzy wielkie.

— W Czi-fu, w Chinach, skutkiem strasznej ulewy wezbrane potoki, pędząc z olbrzymią siłą z gór na miasto, zburzyły mnóstwo domów i uniosły do morza; zginęło kilkaset osób.

Katastrofy. Pomiędzy Nowym Sączem a Marcinkowcami 8 wagonow, oderwanych od pociągu towarowego, stoczyło się po spadku i wpadło na pociąg osobowy, dążący z Krakowa. Dwadzieścia kilka osób zostało pokaleczonych — trzy z nich ciężko.

— W Portlandzie, podczas przedstawień pływackich człowieka bez rąk załamał się most, na którym znajdowało się kilkuset widzów; kilkudziesięciu z nich utonęło.

— W Filanteria i Mulazzo, we Włoszech, było trzęsienie ziemi. Runęły domy, zginęło wiele ludzi.

Zmarli. Dr. Franciszek Ksawery Kasperek, profesor filozofii prawa i prawa narodów w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pana Sar prosimy o jak najprędsze nadesłanie dokładnego adresu miejsca pobytu.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 31 Іюля 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.